Rok XI. Nr. 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Październik.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1905 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

O Dzieciach Maryi.

Chcąc mówić o Dzieciach Maryi w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu, trzebaby sięgnąć do czasów bardzo odległych, do samego początku Kościoła, do tej chwili uroczystej, kiedy ukrzyżowany Jezus rzekł do Maryi, wskazując oczyma na św. Jana: „Oto Syn Twój", a do ukochanego ucznia: „Oto Matka Twoja". Rzewne te słowa „Oto Matka Twoja" przejmują świętą radością serca wszystkich wiernych, przypominając im, iż z Jezusem mogą nazywać Maryę swoją Matką. Na mocy testamentu, ogłoszonego z Golgoty jest cały Kościół jakby jedną olbrzymią rodziną, której ojcem Bóg, bratem Jezus, a Matką — Marya.

Ale jak w rodzinie są dzieci, które swym matkom okazują więcej czci i miłości niż reszta rodzeństwa, tak też w Kościele Bożym były zawsze dusze, które w sposób szczególniejszy kochały Maryę i nawzajem od Maryi odbierały dowody szczególniejszej opieki i dobroci. Takiemi wybranemi dziećmi Maryi byli święci i święte, a przedewszystkiem dziewice, ozdoba prawdziwa katolickiego Kościoła po wszystkie czasy. Aby tego świętego skarbu dziewictwa bezpieczniej ustrzedz, łączono się razem i w ten sposób zaludniły się puszcze i domy, gdzie odtąd miała rozbrzmiewać wspólna pieśń, wspólna modlitwa ku czci Boga i Maryi. Celem ostatnim wszystkich zakonów i zgromadzeń była szczególniejsza, łączna służba Bogu i Niepokalanej. Z biegiem czasu powstawały nawet wśród świeckich ludzi różne korporacye, cechy, bractwa, które prócz celów doczesnych miały charakter religijny t. j. podtrzymywać w swem gronie cześć Boga i miłość ku Maryi. Kult intenzywny Maryi nie był jednak dotąd hasłem głównem żadnego stowarzyszenia, nie było jeszcze Kongregacyi Ma-

ryańskich ani Dzieci Maryi w ściślejszem tego słowa znaczeniu.

Kolebką tych stowarzyszeń miała zostać Rawenna, gdzie w XII. w. błog. Piotr de Honestis, Kanonik regularny przy św. Janie Lateraneńskim założył t. zw. „Pobożne stowarzyszenie Dzieci Maryi“. Kongregacya ta rozwijała się bardzo pomyślnie za życia swego fundatora, lecz też wraz z nim wstąpiła do grobu, dopóki jej nie wskrzesił papież Pius IX., wyznaczając jej jako punkt oparcia św. Agnieszkę poza murami. Dyrekcyę Kongregacyi objął przełożony generalny Kanoników regularnych przy św. Janie Lateraneńskim.

Żywotniejszemi okazały się Solidacye Maryańskie, którym początek dał zakon Towarzystwa Jezusowego. W 1558. r. młody Sebastyan Carabasi S. J., nauczyciel przy kolegium syrakuzańskiem na Sycylii, gromadził uczniów po godzinach szkolnych i miewał do nich nauki o czci Matki Boskiej, w których wskazywał, że najlepszym sposobem przypodobania się Maryi jest „wierność w wypełnianiu obowiązków swego stanu“. Następca jego Jan Leunis z Leodyum, prowadził dalej młodzież w ten sam sposób, a wezwany 1560. r. do Rzymu na nauczyciela w tamtejszem kolegium jezuickiem, zaprowadził tam podobny kult Maryi, zebraniom zaś nadał organizacyę i samorząd. Dnia 25. marca 1563. r. poświęcił wybraną młodzież na służbę Bogarodzicy, nadając jej nazwę „Kongregacyi Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny“.

W Rzymie zatem miało początek to wielkie dzieło, a zakon Jezuitów szerzył je po swych szkołach i kolegiach, które powstawały na całym świecie. Rok 1581. przyniósł kolegium rzymskiemu cztery Sodalicye, noszące nazwy: *Prima primaria, Secunda primaria, Tertia primaria, Quarta primaria.* Każda z nich miała jasno określony cel jakoteż ustawy, według których układało się ich życie wewnętrzne i zewnętrzne. Na czele każdej Sodalicyi stał zarząd, składający się z moderatora (zawsze kapłana Tow. Jez.), z prefekta i 12 niższych urzędników. Hasłem wszystkich było: „Przez cześć

i miłość ku Najświętszej Pannie dążyć do caraz głębszej pobożności i postępu w naukach".

W 1584 r. papież Grzegorz XIII. bullą erekcyjną *Omnipontis Dei* zatwierdził te Kongregacye, pochwalił ich działalność, obdarował je odpustami, a OO. Jezuitom dał przywilej otwierania Sodalicyi przy swych kolegiach i dozorowania Kongregacyi afiliowanych po całym świecie. Ten sam papież podniósł pierwszą Sodalicyę przy kolegium rzymskiem do godności Archikongregacyi: *Prima primaria Congregatio*, na czele zaś wszystkich Kongregacyi tego rodzaju postawił każdorazowego Generała Jezuitów lub jego zastępcę. Następni papieże kilkakrotnie zatwierdzali lub rozszerzali przywileje Sodalicyi Maryańskich. Papież n. p. Sykstus V. pozwolił, żeby nie tylko młodzież szkolna, ale wszyscy wierni mogli do tych stowarzyszeń wstępować, byleby w danem miejscu istniało kolegium OO. Jezuitów. Klemens VIII. ograniczył tę klauzulę, pozwalając na zakładanie Sodalicyi w każdej miejscowości, gdzie się znajduje jakikolwiek dom Towarzystwa Jezusowego. Dzięki tym Kongregacyom Maryańskim brzmiała rozgłośnie cześć Maryi po całym świecie w tym samym czasie, kiedy lutrzy i inni heretycy bluźnili Jej św. Imieniu. Owoce tego kultu Maryi były bardzo bogate. Młodzi Sodalisi pod opieką swej Matki Niebieskiej trwali na drodze cnoty i niewinności, inni, uwikłani przedtem w grzechach, zostawszy czcicielami Maryi, nawracali się szczerze; w szeregach Sodalisów rodziło się wiele powołań do stanu kapłańskiego lub zakonnego.

Kongregacye Maryańskie nie były jednak instytucyami religijnemi wyłącznie, lecz spełniały także zadanie społeczne: nie poprzestając na własnem uświęcaniu, starały się dodatnio oddziaływać na bliźnich słowem, czynem i przykładem, aby się krzewiło wśród ludzi Królestwo Boże. „Trudno uwierzyć — pisał Benedykt XIV. — jak wielkie pożytki spływają na wszystkie warstwy społeczeństwa z tej chwalebnej instytucyi". Nazwa *Sodalis Marianus* oznaczała jakoby coś świętego, starczyła za przysięgę. Sodalisa cechowała żywa wiara, szlachetność i prawość charakteru obok głębokiej pobożności i czci dla

Najśw. Maryi Panny. Młodzież, zapisawszy się raz pod sztandar Maryi, już nigdy od niego nie odstępowała, każdy chciał umierać jako Jej Sodalis. Do Sodalicyi należeli papieże, królowie, szlachta, wykształceni mieszczanie, a nieraz nawet prostaczkowie. Wielu świętych zapisało się do tego stowarzyszenia, które razem z zakonem Jezuitów rozrosło się po wszystkich krajach.

U nas w Polsce już w drugiej połowie XVI. w. zaczęły się szerzyć Sodalicye Maryańskie po całych jej wielkich obszarach. Należała do nich przedewszystkiem szlachta, były też osobne stowarzyszenia dla rzemieślników, kupców, nawet dla pań i obywatelek. W połowie XVIII. w. liczyła Polska przeszło 200 Sodalicyi z dwudziestu tysiącami sodalisów. Do najświetniejszych należała Sodalicya krakowska: *Congregatio nobilium ad domum profess. — a. 1603* i założona 1642. r. Sodalicya warszawska, nosząca nazwę „Królewskiej Kongregacyi Niepokalanego Poczęcia Maryi. Zapisując się do tej ostatniej, przyrzekł Władysław IV., że będzie wiernym sługą Maryi, a Jej przywileju Niepokalanego Poczęcia gotów bronić własną krwią. Odtąd też niemal wszystkie Sodalicye Maryańskie, zwłaszcza studenckie, zawiązywały się pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. W ten sposób ugruntowało się w społeczeństwie polskiem nabożeństwo do Najświętszej Panny, które nasz naród uczyniło jakoby „narodem maryańskim“.

Ten pomyślny stan rzeczy trwał u nas przeszło 200 lat, dopiero bowiem pod koniec XVIII. w. wraz z pobożnością stygnąć poczęło nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny. Na Kościół spadły wielkie burze: bezbożność i zepsucie podały sobie ręce, aby zniszczyć religię i wydrzeć wiarę z serc ludzkich. Niegodziwa polityka rządów z góry, a rewolucya i sekty masońskie z dołu, na wyścigi rzucały się na Kościół i wszystko co święte, a więc i na Kongregacye Maryańskie. Z kasatą Jezuitów 1773. r. usunęła się Sodalicyom główna podpora ich egzystencyi; nie zamierały zaraz, lecz konały powoli. Zrazu jeszcze ex-jezuici kierowali Sodalicyami, ale

później pod obcem kierownictwem zupełnie upadły, bo nie rozumiano ich ducha. Ks. Ks. Pijarzy mieli także stowarzyszenia Maryańskie, nadali im jednak cechę bractwa kościelnego. Jako zwyczajne bractwo istniały też Sodalicye Maryańskie po innych krajach.

Dopiero od 1814. r., t. j. od wskrzeszenia zakonu Jezuitów przez Piusa VII., zaczęły zwolna Kongregacye Maryańskie wyrastać, choć już do dawnej świetności nie wróciły. W Galicyi do połowy XIX. w. istniały 3 Kongregacye: we Lwowie, Krakowie i Nowym Sączu. W drugiej połowie XIX. w. znów w przyspieszonem tempie powstawały nowe ogniska kultu Maryańskiego, zwłaszcza, odkąd tworzyły się Sodalicye osobne dla pań. Pierwsza Kongregacya wyłącznie dla panien ukonstytuowała się 8. grudnia 1860. r. w Poznaniu (Sercanki), następnie powstała we Lwowie 1877. r. Sodalicya pań przy klasztorze Sercanek, wreszcie zawiązuje się podobna Kongregacya w Krakowie, Tarnowie i ziemi sanockiej. W Krakowie i Lwowie powstały nawet osobne Sodalicye dla nauczycielek. Przedstawicielki tych 7 pierwszych Kongregacyi zjechały się w Krakowie w maju 1901. r. pod przewodnictwem O. Stefana Bratkowskiego S. J., aby się wzajemnie poznać i pobudzić do rozszerzania Sodalicyi. Zjazd ten nie był bez skutku, bo między latami 1901—4 powstało 14 nowych Kongregacyi żeńskich.

Wszystkie te Sodalicye nie rządzą się podług jednego szablonu, ale każda z nich, poddając się obowiązującym ustawom Kongregacyi rzymskiej *Prima primaria*, posiada własny regulamin, dostosowany do potrzeb miejscowych.

Trudno uwierzyć, ile dobrego zdziałały w krótkim czasie Sodalicye pań. Oświata ludu przez książki i naukę katechizmu, stowarzyszenia św. Zyty, kasy dla robotnic, tanie kuchnie i inne dzieła miłosierdzia wzięły od nich początek albo też znalazły u nich skuteczne poparcie. Sodalicye rozwijają się bardzo pomyślnie wskutek samorządu, jaki im się zostawia, jak to wynika z odpowiedzi danej J. E. ks. kard. Koppowi, 13. kwietnia 1904. r. przez Generała T. J., podług której

1) Sodalicye nie zostają w żadnej zależności lub pod kierownictwem czy Generała T. J. czy też całego Zakonu. 2) Erekcya Sodalicyi należy do miejscowego biskupa niezależnie od zgody Generała T. J. 3) Podpis O. Generała na statutach pojedyńczych Sodalicyi jest tylko aktem aggregacyi i przyjęciem do związku z *Prima primaria*, przez co nowa Sodalicya staje się uczestniczką jej odpustów.

Obok tych Kongregacyi dochodziły w połowie XIX. w. z młodzieńczą siłą już do rozkwitu nowe stowarzyszenia „Dzieci Maryi", które wyszły z Rodzin św. Wincentego a Paulo.

Wiek XIX., to wiek demokracyi; lud przychodzi do większego znaczenia i władzy, stoją dlań otworem wszystkie godności, które dawniej były jakoby wyłącznym udziałem szlachty i warstw uprzywilejowanych. Nawet dawniejsze Kongregacye Maryańskie, idąc za duchem czasu, wyróżniały swych członków: były osobne Sodalicye szlacheckie i nieszlacheckie. Przedział ten wtedy nie raził, owszem uważano go za słuszny i konieczny. Dopiero w ubiegłem stuleciu zaczęły się zacierać różnice między warstwami społeczeństwa; przyczyniła się do tego sama Najświętsza Marya Panna przez stworzenie stowarzyszenia „Dzieci Maryi", do którego przypuszcza się wszelką zacną młodzież bez różnicy stanu i pochodzenia, podczas gdy dawniejsze Sodalicye ograniczały się do pewnych miejsc i do pewnej klasy osób, były jakoby kastowe. Nowe stowarzyszenie „Dzieci Maryi" otwarło swe szeregi zarówno dla pobożnej młodzieży z ludu jak i dla mieszczan lub szlachty. Wszystkie „Dzieci Maryi" czują się równemi przed Bogiem i Najświętszą Panną; cnota i osobista zasługa znaczą tu wszystko, inne względy nie wchodzą w rachubę. Pierwszą zatem cechą stowarzyszenia „Dzieci Maryi", zaprowadzonych w obydwu Rodzinach św. Wincentego a Paulo, jest ich charakter ogólny, owszem ubodzy i maluczcy są tu jakby uprzywilejowani.

Drugą cechą, wyróżniającą stowarzyszenie „Dzieci Maryi" od dawniejszych Kongregacyi, jest ich początek. Dawniejsze Kongregacye stworzyli ludzie, choć z natchnienia Bożego,

Kościół je potem pochwalił i zatwierdził; stowarzyszenie zaś „Dzieci Maryi", zaprowadzone w Rodzinach św. Wincentego a Paulo, mają początek z nieba, są dziełem samej Najświętszej Panny. Objawiając się w 1830. r. Siostrze Miłosierdzia, Katarzynie Labouré, dała jej Marya dwa zlecenia: jedno, odnoszące się do cudownego medalika, drugie do założenia nowego stowarzyszenia „Dzieci Maryi". Oto odnośne słowa Najświętszej Panny, które siostra Katarzyna Labouré powtórzyła spowiednikowi swemu, ks. Aladel ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy: „Najświętsza Marya Panna życzy sobie, żebyś założył nową Kongregacyę, nad którą masz być przełożonym; jest to stowarzyszenie „Dzieci Maryi"; Najświętsza Panna udzieli temu stowarzyszeniu i tobie wiele łask; odpusty będą nadane. Miesiąc Maryi będzie obchodzony z wielką uroczystością; Maryi podobają się te uroczystości; Marya wyleje obfite łaski na ludzi".

Pobożny i roztropny ks. Aladel, słysząc o widzeniach, odnoszących się do cudownego medalika i nowego stowarzyszenia, nie dawał wiary swej penitentce i zakazał jej nawet o tem myśleć, przypisywał bowiem wszystko rozbudzonej wyobraźni. Ale nikt nie zdoła się sprzeciwić zamiarom Bożym. Słabych, wzgardzonych u świata używa Bóg i Marya jako narzędzia do przeprowadzania swych zamiarów, aby się jawnie okazało, że dane dzieło jest Bożem a nie ludzkiem. Widzenia Siostry Katarzyny nie ustawały, ks. Aladel nie przywiązywał do nich i nadal większej wagi, ale Marya pocieszała strapioną Siostrę, mówiąc: „Bądź spokojna, przyjdzie czas, że on zrobi to, czego ja pragnę; on jest moim dobrym sługą i bałby się mnie zasmucić". Słowa te, powtórzone przez Siostrę Katarzynę, zrobiły na ks. Aladel silne wrażenie, począł się nad całą sprawą głębiej zastanawiać. Myśl, że zasmuci Maryę, skoro nie spełni Jej życzeń, przejmowała go trwogą. Radził się osób roztropnych, zwłaszcza ks. Etienne, późniejszego przełożonego generalnego Ks. Ks. Misyonarzy, który był wtenczas generalnym prokuratorem. Radził się też przy sposobności ówczesnego arcybiskupa paryskiego Mgra Quélen.

Ten go uspokoił co do objawień, a nawet 1836. r. wydelegował osobną komisyę, która zbadawszy widzenia, wydała o nich sąd przychylny. Przekonawszy się o prawdziwości objawień był ks. Aladel gotów spełnić wszelkie życzenia swej Niebieskiej Królowej; począł też z całą gorliwością rozszerzać cześć i nabożeństwo do Najświętszej Panny, zwłaszcza po zakładach Sióstr Miłosierdzia, w których się wychowywały sieroty. Ogniste słowa świątobliwego kapłana, sławiącego piękność i dobroć Maryi, głęboko wszystkich poruszały, pociągały serca młodzieży do głębokiej czci dla Najświętszej Panny. Zanim ks. Aladel został dyrektorem Sióstr Miłosierdzia, dawał często rekolekcye w ich domach. Gdy na tych świętych ćwiczeniach mówił o Maryi Niepokalanej, zdawało się jego serce rozpływać z roskoszy; słuchały go wtedy z uniesieniem nie tylko Siostry Miłosierdzia, ale i dzieci zarówno domowe jak i przychodnie z miasta; wszystkie chciały być „Dziećmi Maryi“. W ten sposób poczęły się tworzyć w Paryżu stowarzyszenia ku czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny zrazu jakoby na próbę tylko z dzieci, zostających w zakładach Sióstr Miłosierdzia, n. p. w domu „Opatrzności“, w domu „Św. Medarda“, „Św. Magdaleny“; między latami 1836—1846. powstały stowarzyszenia w St. Flour, Mainsat, Aurillac. Kiedy zaś dziewczęta przychodnie błagały natarczywie, żeby im również wolno się było związać w stowarzyszenia ku czci Maryi Niepokalanej, otwarto dla nich domy Sióstr Miłosierdzia u św. Wincentego, św. Rocha, św. Pawła, św. Ludwika. Z biegiem czasu rozszerzyły się stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ na prowincyę. Poczęły się zatem spełniać życzenia Najświętszej Panny. Wielka była radość ks. Aladel, apostoła czci Niepokalanej, nie mniejsza Siostry Katarzyny Labouré, gdy jednocześnie medal i nowe stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ rozszerzały się po całej Francyi. Brakowało jeszcze wprawdzie dla stowarzyszenia zatwierdzenia papieskiego, lecz niebawem miało i to nastąpić. W 1846. r. został przełożonym gene-

ralnym obydwóch Rodzin św. Wincentego uczony i pełen ducha Bożego ks. Jan Etienne, przyjaciel ks. Aladel, wtajemniczony oddawna w zamiary Boga i Najświętszej Panny co do nowego stowarzyszenia „Dzieci Maryi“. Po kilku latach próby było stowarzyszenie zorganizowane, miało swe statuta, reguły i zbawienne przepisy, czekało tylko na aprobatę Stolicy świętej. Otóż ks. Etienne podczas swego pobytu w Rzymie wyjednał u papieża Piusa IX. reskrypt z dnia 20. czerwca 1847. r., na mocy którego otrzymał dla siebie i swoich następców władzę zaprowadzania stowarzyszeń „Dzieci Maryi“ w domach Sióstr Miłosierdzia dla dziewcząt, uczęszczających do ich szkół lub pracowni. Oto tekst tego reskryptu: „Pius IX., Papież, nadaje ks. Etienne, przełożonemu Ks. Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia władzę zakładania w szkołach pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia zostających, pobożnego stowarzyszenia pod wezwaniem Niepokalanej Dziewicy z wszystkimi odpustami, które są nadane Kongregacyom „Dzieci Maryi“ w Rzymie dla uczniów w zakładach OO. Jezuitów“. W trzy lata później, 19. lipca 1850. r., rozciągnął papież Pius IX. przywilej ten do zakładów i szkół męskich, których zarząd spoczywa w ręku Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy tak, iż przełożony jakiegokolwiek zakładu tego Zgromadzenia może za aprobatą miejscowego ordynaryatu zaprowadzać przy swym domu stowarzyszenia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Członkowie tych stowarzyszeń zyskują te same odpusty, co Sodalicye Maryańskie, istniejące w Rzymie.

Dzieło Maryi Niepokalanej zostało więc kanonicznie potwierdzone przez głowę Kościoła. Następca księdza Etienne, O. Generał Eugeniusz Boré, uzyskał wreszcie od Piusa IX. nowy reskrypt z 19. września 1876. r., który rozszerzał dla Sióstr Miłosierdzia przywilej zaprowadzenia stowarzyszenia „Dzieci Maryi“ nawet wśród dziewcząt, nie uczęszczających do ich szkół lub pracowni. Wszystkie wyżej wymienione prawa co do erekcyi i kierownictwa „Dzieci Maryi“ potwierdził jeszcze trzy razy papież Leon XIII.

Nowa Kongregacya Maryańska była więc w swoich początkach ziarnem gorczycznem, zatwierdzona potem przez Stolicę św. i ubogacona licznymi odpustami, wyrosła w olbrzymie drzewo, którego gałęzie sięgają najodleglejszych krańców świata, wszędzie wydając błogie i zbawienne owoce.

Ks. Czesław Lewandowski.

(Dokończenie nastąpi).

Kościół Ks. Ks. Misyonarzy w Tarnowie.

Kościół Ks. ks. Misyonarzy wraz z domem tuż przyległym buduje Komitet osobny z łona parafii obrany, a sprawę prowadzi ks. Superyor Stanisław Tyczkowski. Pieniądze pochodzą ze składek publicznych, które dzięki ofiarności ludu płyną dość obficie.

Roboty początkowo zwolna postępowały, albowiem musiano nasamprzód przełożyć koryto potoku, przerzynającego ogród po przekątni. Gdy tego dokonano, wnet zabrano się do wykopów ziemi, ale te niesporo postępowały, bo ziemia gliniasta łatwo się zsypywała. Trzeba było brzegi silnie deskami rozpierać. W niektórych miejscach wykopy sięgają bardzo głęboko, przeszło 4 mtr. Do tego na domiar utrudnienia występowała gdzieniegdzie woda zaskórna. Miejscami za podstawę służy ił siwy, zbity, bardzo twardy, miejscami pokład piasku. Tutaj zakładano zwykłe fundamenta z kamienia na zaprawie wapiennej o małej przymieszce cementu. Gdzie okazywała się woda, lub gdzie nie można było natrafić ani na piasek ani na caliznę, tam musiano uciec się do betonu.

Roboty objął w przedsiębiorstwie p. Augustyn Tarkowski, konc. budowniczy z Tarnowa.

Materyał kamienny i ciosowy pochodzi z Gromnika, cegła zwyczajna z cegielni ks. Konstancyi Sanguszkowej, cegła t. zw. licówka z Podgórza z cegielni Barucha.

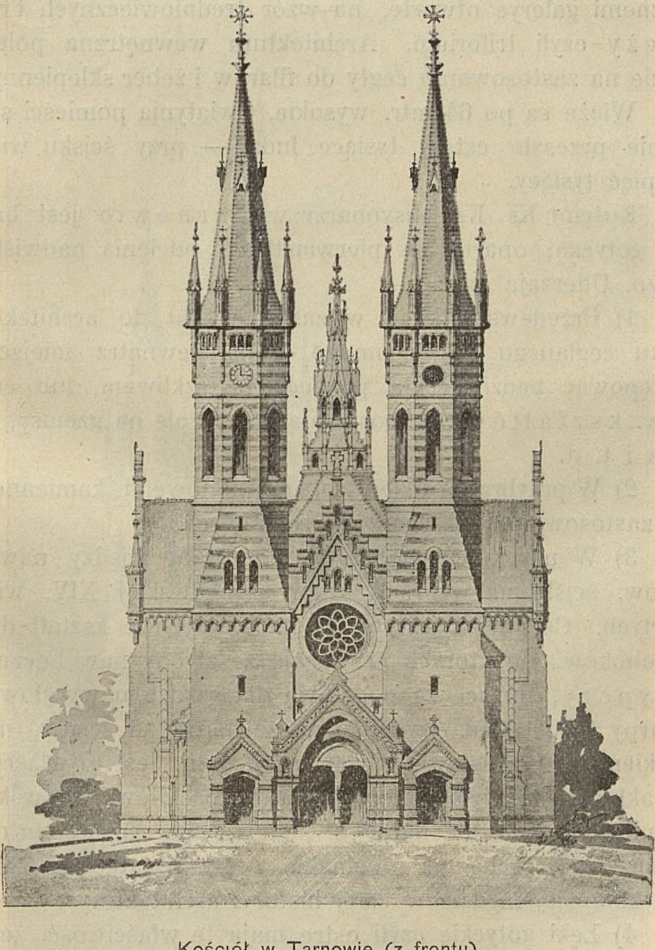
Obecnie osadzono już cokół kamienny dookoła kościoła, a mury po nad cokołem wyprowadzono mniej więcej do wysokości 4 lub 5 mtr. Z całą siłą zabrano się ostatnimi czasy do murów domu Ks. Ks. Misyonarzy. Gdy bowiem niepodobieństwem jest, aby mury kościoła choćby częściowo pokryć dachem, to przecie wcale możliwem jest, aby dom tego roku doprowadzić pod dach, jaki będzie pokryty dachówką.

Kościół ma być wykończony na rok trzeci budowy, zatem w r. 1907. Dom prawdopodobnie będzie w przyszłym roku zupełnie oddanym do użytku.

Cały kościół wraz z domem Ks. Ks. Misyonarzy buduje się na miejscu, ofiarowanem hojnie przez ks. Sanguszkę. — Przedmieście „Strusina“ od dawna wymagało osobnej świątyni. Stać ona będzie niedaleko dworca kolei — przodem ku ulicy Krakowskiej. Od chodnika ku drzwiom głównym będzie przestrzeń wolna, na 14 mtr. głęboka. Stąd po stopniach, drzwiami głównemi o dwóch wejściach i dwojgiem drzwi bocznych, wstępować będzie lud do kościoła. Drzwi boczne pod wieżami. Drzwi środkowe na osi nawy głównej. Wnętrze posiadać będzie trzy nawy przodkowe, jedną główną (7·5 mtr. szeroką) i dwie nawy boczne. Nawa główna będzie 17·00 mtr. wysoką. Mniej więcej w połowie długości kościoła założono ogromny kwadrat o rozpiętości 14·50 mtr. Górą przechodzić on będzie w ośmiobok, po nad którym rozpięte będzie wspaniałe sklepienie gwiazdowe. Z kwadratem tym łączy się nawa krzyżowa długa na 28 mtr., a tak szeroka jak nawa główna (7·5 mtr.).

Za kwadratem otwierają się znowu dalsze trzy łuki sklepienne. Środkowy, jako największy, stanowić będzie łuk tęczowy, poza którym mieści się część kapłańska (presbiteryum). Kończy się ona absydą wieloboczną. Lewy łuk sklepienny prowadzić będzie do kaplicy 6 mtr. szerokiej, a 11 mtr. 50 ctm. długiej. Kaplica ta mieć będzie osobną absydę boczną. Prawy łuk sklepienny zamykać będzie ścianę, w której drzwi umieszczone będą prowadziły do zakrystyi.

Prócz tego architektura wewnętrzna zyskuje jeszcze na rozmaitości przestrzennej przez założenie dwóch kaplic półokrągłych obok naw bocznych. Po każdej stronie kaplicy półokrągłej występują zagłębienia wzdłuż naw bocznych, przeznaczone głównie dla stworzenia cichych miejsc na słuchalnie dla spowiedników. Skrajne pola nawy krzyżowej ponadto mają jeszcze po jednej absydce małej, wielobocznej, na ołtarze boczne przewidziane. Zakrystya sama zapomocą schod-



Kościół w Tarnowie (z frontu).

ków osobnych połączona będzie z domem tak, że księża będą mieli dostęp bezpośredni do kościoła. Cała długość kościoła wynosi około 54 mtr.

Wzdłuż nawy głównej ciągnąć się będą po nad nawami bocznemi galerye otwarte, na wzór średniowiecznych trójścieży czyli triforium. Architektura wewnętrzna polegać będzie na zastosowaniu cegły do filarów i żeber sklepiennych. Wieże są po 64 mtr. wysokie. Świątynia pomieści swobodnie przeszło cztery tysiące ludzi — przy ścisku więcej jak pięć tysięcy.

Kościół Ks. Ks. Misyonarzy w Tarnowie jest bazyliką gotycką, opartą na pierwiastkach odcienia nadwiślańskiego. Uderzają one:

1) Przedewszystkiem w zastosowaniu do architektury wątku ceglanego i kamiennego — na zewnątrz miejscami występować będzie cegła powleczona szkliwem, lub cegła t. zw. kształtówka, posiadająca wykroje na gzemsy, nałęcza i t. d.

2) W przybraniu okien laskami pionowemi, kamiennemi, bez zastosowania przeźroczy koronkowych.

3) W użyciu wewnątrz do przedziału między nawami filarów, ściśle na wzorach szkoły krakowskiej XIV. wieku opartych. Cechą ich jest to, że mają w rzucie kształt dwunastoboków, do których przylegają ze strony naw bocznych przypory, służące za podstawę dla szkarp nawy głównej. Szkarpy te ostatnie, wystając na zewnątrz od ściany, mają skutkiem tego podstawę, sięgającą od dołu. Jest to właściwie charakterystyka, wyłącznie należąca do kościołów krakowskich, średniowiecznych, ale mimo to stanowi ona cechę stylu nadwiślańskiego, cechę tak oryginalną i tak wyjątkową, że nie spotykamy jej nigdzie w całej historyi architektury.

4) Łęki gotyckie czyli ostre mają tę właściwość, że nie są bardzo strzeliste, ale przeciwnie przysiadłe, niewiele podniesione. Różnią się one w tym względzie bardzo od łęków ostrych architektury niemieckiej, która używa zazwyczaj ich we formie zbyt wygórowanej. Ze względów estetycznych



Kościół w Tarnowie (od strony wschodniej).

milsze wrażenie sprawiają łęki powolne, jakie u nas występują w odcieniu nadwiślańskim.

5) We wnętrzu przybranie ścian nawy głównej u góry trójrzędnemi wnękami opiera się ściśle na przykładzie, jaki widać w katedrze na Wawelu, gdzie obok okna i wnęki środkowej pod oknem występującej, zupełnie podobne są wnęki poboczne, jakie w Tarnowie tutaj zastosowano.

6) W oknach nawy głównej pomieszczono laski kamienne w kształcie krzyża. Jest to znowu naśladownictwo okien t. zw. Kazimierzowskich, jakich ślad w kraju pozostał na wielu zabytkach (n. p. Niepołomice).

7) Szczyty nawy głównej i nawy krzyżowej opierają się na motywach po rozmaitych kościołach Małopolski i Wielkopolski rozsianych. Polegają na zastosowaniu sterczyn zamykających dach kościelny i na przyozdobieniu wystawy szczytu wnękami. Wnęczki takie, stopniowo ku górze się wznoszące, widzimy na starożytnym szczycie kościoła Bernardyńskiego w Bydgoszczy.

8) Wieże mają u góry dookoła gzemsów wieńczących wieżyczki rozmieszczone, na małe podobieństwo wieżyczek z kościoła Maryackiego w Krakowie.

9) Na zewnątrz dominującymi przedmiotami są obie wieże i sygnaturka w kształcie trzeciej wieżyczki, na skrzyżowaniu naw się wznosząca. Wieże dołem kwadratowe, górą ośmioboczne. Przejście z kwadratu do ośmioboku nader ciekawe, niezwykłe. Sygnaturka zaś spoczywa na szczycie dachu, piętrzącego się nad kwadratem ogromnym, we wnętrzu którego rozpiąć się ma sklepienie gwiazdowe.

Zaznaczenie tych trzech szczegółów wyniesionych wysoko jest ze względów estetycznych konieczne, aby odpowiednio do długości kościoła lotność jego uwydatnić.

Gdyby wzdłuż całej długości świątyni panowała u góry jedna linia pozioma, nieśmiało przerwana mało wyniosłą sygnaturką, wtedy widok boczny przedstawiałby się zbyt nużąco. Tym względem tłómaczy się konieczność wywyższenia sygnaturki.

Katedra na Wawelu od progu do kaplicy Batorego ma 58 mtr. Wobec tego kościół na Strusinie będzie tylko o 4 mtr. krótszy. Katedra na Wawelu jest 20 mtr. szeroką — zaś nawa krzyżowa na Strusinie mierzy 28 mtr. Wysokość sklepienia nawy głównej na Wawelu mierzy 19 mtr. — na Strusinie 17 mtr. w nawie głównej — ale 21 mtr. w sklepieniu gwiazdowem!

Dr. Jan Sas Zubrzycki
architekt autoryzowany.

Sprawozdanie z misyj, odprawionych w jesieni 1903. r. w Galicyi Wschodniej.

Żydaczów.

Żydaczów oddalony od Sokołowa mniej więcej 38 klm. Jechaliśmy kilka godzin wózkami, odmawiając po drodze pacierze kapłańskie i inne modlitwy, których nie było czasu odprawić z rana w Sokołowie. Szczęśliwym trafem prowadziła droga z Sokołowa do Żydaczowa przez Kochawinę. To też z największą radością wstąpiliśmy do bazyliki Najśw. Panny, aby się pokłonić Matce Bożej, która tu od wieków słynie cudami. Poleciwszy siebie i ciężką pracę naszą Jej macierzyńskiej opiece, ruszyliśmy w dalszą podróż, bo już wieczór zapadał, a nas jeszcze daleka czekała droga. O godzinie 7 stanęliśmy na miejscu przeznaczenia, gdzie już oczekiwał na nas z wielkim niepokojem proboszcz miejscowy, ks. Eugeniusz Dręgiewicz. Za pół godziny już staliśmy przed ołtarzem, aby wezwać Ducha Przenajśw. na pomoc i odśpiewać hymn „Veni Creator“, przepisany rubryką misyjną przed rozpoczęciem pracy apostolskiej. Ludzi spodziewaliśmy się więcej, tymczasem zaledwie ich było 400. Ale i za to Bogu dziękować! Zagailiśmy po nieszporach misye nauką wstępną i zapowiedzieliśmy porządek misyjny. Jakież jednak rozczarowanie nasze nazajutrz, gdyśmy przyszli do kościola po dwukrotnem dzwonieniu, a tu i jednej żywej duszy niema. Bonum mihi, quia humiliasti me — myślę sobie, może to kara Boża a raczej dopust Boży, abyśmy nie wzbijali się w pychę, że na głos misyonarza zaraz lud się garnie. O ile na poprzednich misyach nam się wiodło, o tyle tu nam jakoś nie szło. Ale też czas był drogi, bo to pora kopania ziem-

niaków, każdy korzystał z pogody, która cudownie dopisywała. Obawialiśmy się bardzo, aby z misyi nie było wielkie fiasko. Ale jakoś Bóg dopomógł. Około godziny 8 zaczęli trochę kapać ludziska. Gdy ich się więcej zebrało na sumie, przemówiliśmy im do serca, a i ks. proboszcz zrobił im wymówki, aby mu wstydu nie robili przed Misyonarzami i Arcybiskupem, któremu Ojcowie muszą z każdej misyi sprawozdanie zrobić. Zmiękli rzeczywiście. Odtąd liczniej na misye uczęszczali. Kobiet wyspowiadaliśmy 670, mężczyzn trochę więcej. Ze spowiedzią biedy nie było. Pomagali nam Ojcowie Karmelici z Rozdołu, a także okoliczni księża jak: ks. Dziekan Klecan z Chodorowa, ks. Ziemba, proboszcz z Żurawna i inni.

Kościół Żydaczowski bardzo ładny, początek jego sięga dawnych czasów, bo roku 1301. Utrzymany w rzadkim porządku, bo ks. proboszcz Dręgiewicz dilexit decorem domus Domini. Pracuje, ile może, jest tu dopiero 3 lata; zastał parafię bardzo zaniedbaną, co do dziś dnia na każdym kroku doskonale odczuć się daje. Dosyć powiedzieć, że tu proboszcza nie było przeszło 20 lat, a administratorowie, wiedząc, że każdej chwili na inny posterunek przeniesieni być mogą, nie zabierali się nigdy radykalnie do pracy.

Smutne też i to, że inteligencya tutejsza z małym wyjątkiem wcale przykładem w czasie misyi nie przyświecała, bo jej w kościele nikt nie widział. Konkluzya misyi przypadła w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej. Od rana ruch koło kościoła, bo to odpust parafialny. Narodu bez miary, ścisk, natłok nie do opisania, bo cała okolica ruszyła. Zjawił się Chodorów, Żurawno, Rozdół, Machliniec. Dobre to, bo ich się chwyciło do różańca św., szkaplerza a przedewszystkiem do bractwa św. trzeźwości, choć nam o tyle to było nie na rękę, żeśmy żydaczowskich parafian nie mogli wyróżnić. Nadto przeszkodziło nam nabożeństwo galowe, które trzeba było odprawić z racyi imienin Najjaśniejszego Pana, gdyż to był dzień 4. października św. Franciszka Serafickiego. Krzyż misyjny poświęciliśmy po sumie. Był to

prawdziwy tryumf Krzyża św. Olbrzymi, bo może 8 metrów wysoki, pięknie ciosany, w smerekowe wianki ubrany krzyż obnieśliśmy w procesyi koło kościoła. Ze łzami w oczach stawiali go mężczyźni wśród pieśni: „Krzyżu św. nadewszystko". Po południu odprawiliśmy jeszcze uroczystą procesyę różańcową z 5 ołtarzami, przy których spiewano wskazane przepisami ewangelie. Po odśpiewaniu uroczystego Te deum laudamus wsiedliśmy na przygotowane powozy, by podążyć na dalszą pracę apostolską, gdzie nas też już lud niecierpliwie wyczekiwał.

Żurawno.

Żurawno 21 klm. oddalone od Żydaczowa na południe. Jechało się nam przyjemnie przy białem świetle księżyca w pełni, który raz z prawej raz z lewej strony wozy nasze oświecał. Żurawno, miejscowość rozkoszna, piękna, okolica wspaniała, urocza, otoczona pagórkami, wśród których wije się wstęga cudowną z jednej strony Dniestr, z drugiej Świeca. Żurawno sławne i pamiętne wojnami tureckiemi i tatarskiemi. Tu Jan III. traktaty z tureckim baszą zawierał i układy czynił pokojowe, których 15 punktów w kronice parafialnej do dziś dnia każdy czytać może.

Przybyliśmy tu wieczorem o godz. 7½ i z wózka wprost podążyliśmy do kościoła, pięknie przybranego w zieleń i kwiaty a oświetlonego niezwykle. Narodu po brzegi, każdy oddech wstrzymywał i patrzał na ołtarz, przed którym Misyonarze razem z miejscowym duszpasterzem, klęcząc w pokorze, wzywali łaski i pomocy Ducha św. na nowym posterunku. ks. proboszcz, Franciszek Ziemba, przedstawił nas ludowi, wyraził radość swoją i parafian z przybycia naszego, zachęcił krótkiemi słowy do gorliwego uczęszczania na misye i oddał nam stułę jako oznakę władzy do rządzenia parafią przez czas misyi. Po wstępie tym odprawiono uroczyste nieszpory na cześć N. Panny Różańcowej. Celebrował je ks. Kanonik Dręgiewicz, proboszcz Żydaczowski, który od-

wiózł nas aż do Żurawna. Asystowali mu ks. ks. Głogowski i Kołodziej w dalmatykach. Niesłychana radość z tego powodu, bo jak Żurawno Żurawnem, nie widziano tu nieszporów z asystą, czyli, jak tu mówiono, z czeladnikami. Po nieszporach wygłosił wstępne słowo Boże ks. Superyor, lud słuchał uważnie, a ziarno słowa Bożego nie padło na opokę, bo przez cały przeciąg misyi świątynia szczelnie przepełniona była. Choć parafia ta niezbyt wielka, bo licząca 2300 dusz, ale cała okolica ruszyła: Wojniłów, Żukowiec z mazurami, Dołcha, Bukaczowce, Kałusz etc. Żurawno jest własnością Skrzyńskich. Erekcya parafii datuje się od 1468 r. Fundatorem jej był Jan Chodorowski, pan na Żurawnie. Kościół dawny spalił się a nowy stanął 1875 r.

Praca była tu ciężka, ale przytem przyjemna. Ludek nie zły, bardzo ochotny, przywiązany do kościoła i swojego pasterza. Owoc to niezawodnie długoletniej pracy śp. ks. Szamoty, a w części obecnego proboszcza miejscowego a nie mniej i Sióstr Służebniczek, które gorliwie tu pracują nad dziatwą i ludem, świecąc przykładem i pobożnością parafianom, którzy ich pracę oceniają i szacunkiem oraz wdzięczną miłością wynagradzają. Wyspowiadaliśmy tu niewiast około 600. W czwartek 8. października przystąpiły wszystkie razem wspólnie do stołu pańskiego jak dzieci jednego Ojca i jednej Matki Kościoła katolickiego. Co za płacz i lament powstał w kościele, kiedy Misyonarz wezwał je, aby publicznie przeprosiły wystawionego w monstrancyi Zbawiciela! Wszystko wołało: Przepraszamy Cię Panie Jezu za nasze grzechy, a szczególnie za świętokradztwa, jakich się dopuszczałyśmy: płacz ten potęgował się i wzrastał, gdy ich zapytałem, czy przepraszają swego ojca duchownego, swoich rodziców, sąsiadów i znajomych. Wszyscyśmy płakali, patrząc, jak ten lud korzy się przed Bogiem i zazdrość nas brała, że my nie umiemy tak wylać serca przed Panem, gdy się zbliżamy do Jego trybunału lub ołtarza!

Mężczyźni również dobrze dopisali. Stawili się wszyscy, a pilnie słuchali słowa Bożego. Toteż z największą przyjem-

nością łamaliśmy im ten chleb Boży, pewni będąc, że na dobrą pada glebę. Od rana do późnej nocy przepełniony był dość obszerny kościół pobożnymi słuchaczami. Wyspowiadaliśmy mężczyzn również koło 600. Wszyscy z małym wyjątkiem zapisali się do bractwa św. trzeźwości. Do różańca zapisała się cała parafia bez wyjątku. Po poświęceniu krzyża misyjnego podziękował w pięknych słowach ks. proboszcz Misyonarzom za ich trudy i prace, a gdy ich żegnał z ambony, wszystko lamentowało, płakało i jęczało, wielki i mały, lud i inteligencya, a my z nimi jak dzieci, zwłaszcza gdy wołali: „Bóg zapłać, Bóg zapłać“.

Nazajutrz siedliśmy na wozy, by ruszyć na dalszą stacyę misyjną.

Żulin.

Droga była daleka, deszcz rosił, a zimno jesienne dokuczało nam na dobre, bo nie mieliśmy ciepłego ubrania ze sobą, toteż każdy z nas dzwonił zębami. Ujechawszy 3 mile wozem, stanęliśmy w Kochawinie, gdzieśmy znowu wstąpili pokłonić się cudami słynącej Niebios Królowej. Po krótkim pacierzu udaliśmy się na dworzec kolejowy i za godzinę stanęliśmy w Stryju, gdzie nas już fury z Żulina oczekiwały. Szkapięta małe jak koty ledwie lazły, a tu dwie godziny całe trzeba było dygotać od zimna. Nareszcie stanęliśmy na miejscu przeznaczenia. Przed miesiącem proboszcz tutejszy ks. Mroziński podał się na emeryturę. Był tu tylko administrator, ks. Muszyński. Sam biedny, nie znał ludzi, a tu jeszcze my na karku. Wystarał się dla nas poczciwota o niezbędne sprzęty: trzy sienniki, trzy krzesła, jeden stół, świeca, ręcznik i 1 umywalnia, oto wszystko co było niezbędne. Bieda aż trzeszczy — kucharki nie ma, żona organisty coś ugotowała, ale zachorowała i nie miał kto zająć się nami, jakaś wreszcie kobiecina z pomocą księdza administratora spełniła urząd Marty. Mieszkanie plebańskie nędzne, przez dziurawy dach się leje, trzeba z łóżkiem uciekać w czasie deszczu z jednego kąta do drugiego. W kościele ubóstwo w naj-

wyższym stopniu jak w stajence Betleemskiej, ołtarze bardzo nędzne, organ nie grający, brak służby kościelnej.

Zadzwoniliśmy na nieszpory, bo misya ogłoszona. Zeszło się do 100 osób, polaków, rusinów, szwabów trochę. Nazajutrz rano rozczarowanie, nie miał kto dzwonić, a organista sam godzinki wyśpiewał i nam do Mszy św. posłużył. Gdzieś o godz. 9 coś się więcej zebrało. W następnych dniach wzrosła liczba słuchaczy do trzech set, a szwabiska tak się rozkołysały, że trzeba było i niemieckie do nich nauki głosić. Nie zrażaliśmy się małą liczbą słuchacza, pomni słów św. Wincentego, że i dla jednej duszy kilkodniowej pracy szczędzić nie należy. Postanowiliśmy dla tej parafii 5 dni pracy. Zaczęliśmy 13. października, a skończyliśmy 17. wspólną komunią św., do której przystąpiło prawie 400 ludzi, a parafia liczy coś 1607.

Kościół parafialny był pierwotnie w Podborcach, przeniesiono parafię do Żulina 1801 r., gdzie postawiono nowy murowany kościół, konsekrowany 1802 pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Maryi. Do parafii należy 18 wiosek — najdalsza z nich, Komarów ruski, oddalona 20 klm., do parafii należy 12 szkół wiejskich. Przy zakończeniu misyi prosili gorliwsi, aby im wyprosić księdza, któryby się zajął nimi; pocieszyłem ich, że dostaną bardzo pracowitego, dobrego i świętego kapłana na proboszcza, który pewnie zajmie się nimi i zaniedbaną parafią. Bóg wysłuchał ich i naszych modłów, bo im dał bardzo dobrego i gorliwego proboszcza w osobie ks. Józefa Machowskiego, który znając Żulin jako parafię zapuszczoną, pracuje, ile sił, w cichości i zaparciu. Tak zakończyliśmy sezon jesiennej pracy naszej Panu Bogu na chwałę a duszom, krwią Chrystusa odkupionym, na pożytek. Dnia 19. października powróciliśmy do domu, aby trochę odpocząć po trzechmiesięcznej prawie pracy apostolskiej, a potem zająć się znowu nieco parafią.

Ks. Fr. Buchhorn.

Sprawozdanie z misyi, danych w r. 1904. przez Ks. Ks. Misyonarzy z Kleparza w Galicyi Zachodniej.

Dobra.

Po szczęśliwym z Borzęcina powrocie, żeby gorliwość nie zardzewiała, daliśmy jeszcze na Kleparzu rekolekcye 600 chłopom od 25. do 29. stycznia, potem od 8. do 12. lutego 900 kobietom, poruszyliśmy nieco staruszków w zakładzie Helclów, a potem dalej w góry. W sobotę wstępną postu ruszyliśmy na tę wyprawę a wróciliśmy aż po niedzieli palmowej jazdy najrozmaitszej, przygód i przepraw używszy do syta.

Ks. Tyczkowski już pod koniec stycznia wyjechał na nową stolicę do Tarnowa. Dnia 20. lutego ruszyło nas 4: ks. ks. Kamiński, Szymbor, Steinsdorfer i ja w tę daleką drogę do Dobrej przez Kalwaryę, Suchą, Chabówkę i wyjechaliśmy około 9 rano a pod wieczór stanęliśmy na miejscu. W Krakowie był czas dosyć znośny, w drodze atoli zaczął śnieg sypać, jakby na nas czekał z tem błogosławieństwem, i tak nam prawie cały czas misyi z małemi przerwami towarzyszył. Pracę zaczęliśmy na sumie na drugi dzień. Parafia liczy przeszło 5000 dusz, kościół stary, spróchniały, gdyby się to było naraz zebrało tyle góralstwa, kto wie, czyby wytrzymał. Trzeba było znowu na 4 partye rozdzielić.

Starodawni nasi konfratrzy po dwakroć tu pracowali. Schematyzm tarnowski pisze, że kościół tutejszy jeszcze r. 1361 stanął; a jeżeli się weźmie na uwagę dzisiejszy upór, wyrachowanie dla domu Bożego tutejszych górali, łatwo przypuścić, że po 2 z górą wiekach znaleźliśmy się w tym samym kościele, w którym i oni kiedyś P. Boga chwalili.

W r. 1694 było ich tu ze Stradomia 3, ludzie szli na misyę dosyć wiernie i licznie; ale jakieś zamieszania wiele owocu misyi odjęły. W r. 1750 znowu ich trzech zjechało a byli to ks. ks. Wojciech Kosk, Benedykt Łuczaj i Karol Kosecki; był też z nimi kleryk Mikołaj Rembowski — do katechizowania. Tę drugą misyę zaczęli w samo święto Narodzenia Najśw. Panny a skończyli w dzień śmierci naszego św. Ojca 27 września. Sześć par małżeństw, zawartych z przeszkodami poprawili, wyspowiadali 2300 osób. Pisze kronikarz, że z tych jarów i kotlin wychodzili r u d e s, dzicy, nieokrzesani, nauki jednak misyjne wielce ich interesowały i wiernie a coraz liczniej na nie się schodzili. Od czasu tej ostatniej misyi już, chwała Bogu, 150 lat minęło, a o Dobrzanach chyba i dziś lepiej się powiedzieć nie da, tylko że są r u d e s a za tem i wszystko idzie.

Obecny Proboszcz z Dobrej ks. Hilary Kocańda nadesłał nam przed misyą o swych parafianach notę. Pisze tak: „Co do panujących błędów, trudno byłoby o wszystkich należycie traktować, tylko ważniejsze, ciężkie choroby parafian moich wymienię. Są tu pijaki, proceśniki, bitniki, niemoralni; pycha, brak ofiarności na cele kościoła, oziębłość ogólna, będzie z 750 obojętnych głazów, kradzieże w lasach, łapanie biednych zwierząt na druty i barbarzyńskie męczenie tychże, obłuda itp. łajdactwa, a co najważniejsza, złe wychowanie dzieci, brak uszanowania dla rodziców i taka z tego wyuzdana dzika buta u młodzieży“. Aż się nam ciepło zrobiło, kiedyśmy tę notę odczytali i przyszło misyę zacząć. Myśleliśmy, że na Borzęcinie już się zbytki i psoty kończą, a tu jeszcze lepsze się spotkało argumenta. Tam naród rozumny, to mu można prędzej wytłumaczyć; a tu takie dzikusy, żeby chyba i w Abisynii gorszych nie znalazł. Byli tu w r. 1890 przed nami OO. Jezuici z misyą; ludzie jej wiele nie pamiętają, a w sumieniach ani śladu nie było można się dopatrzeć. Wzięliśmy po swojemu wszystko od nowa, z gruntu: codzień były 3 nauki i jeszcze przydatki krótkie lub dłuższe według potrzeby i okoliczności. W kon-

fesyonałach trzeba było strasznie ciągnąć, sumienia zarosłe *ab infantia*. Dzięki Bogu, że ta misya trafiła na czas, kiedy jeszcze po sąsiednich parafiach spowiedź wielkanocna się nie rozruszała, to i pomocy nie brakło, i ostatecznie wszystkośmy pokończyli. Kobiet było 1200, dziewcząt 900, chłopaków 800, chłopów 1200. Ślubowało ogółem 2000 osób. Twardy to jednak lud i zuchwały. Wypadło mi raz mieć przemowę przed Komunią generalną. Mówi się tę rzecz tonem gorętszym, a co jest na sumieniu, to można wtedy wypowiedzieć — i zwykle najlepszem sercem przyjmą — bo i chwila po temu nastraja. Tu schodzę z ambony, a chłop mnie zaczepia: „Cóżeście się to J.Mość tak na Dobrzanów zawzięli?“ Nie mogąc się natręta inaczej wyzbyć, powiadam mu, że jak tylko do Dobrej przyjechałem to myślę i myślę, czemu się to „Dobrą“ nazywa, skoro tu ani ziemia dobra, tylko lasy, skały, góry, potoki same, ani ludzie dobrzy; chyba chcieli nazwać „drabami“ waszą osadę, a ten co pisał, pomylił się — i 2 litery przełożył.

Dla kościoła i sług Bożych naród skąpy, nieużyty, a bez grosza nie jest. Karczmy pobudowali jak hrabskie pałace, a księża mają mieszkania — Boże się zmiłuj. Na plebanii mieszkaliśmy, to nam staruszek ks. Kamiński mało nie umarł; a wikaryjka jeszcze gorsza. W Mszanie Dolnej dla grubarzy wystawili poczciwi ludzie kamieniczkę bez targu, a tu się upierają i wojnę prowadzą, kiedy proboszcz urguje, żeby wikaryjkę stawiali. Jak chcą, to i potrafią grosz znaleść. Zapowiedziałem raz kobietom, że ich ludzie obnieśli po sąsiednich parafiach, że są skąpi dla kościoła: spróbuję ja czy to prawda, pójdę z tacą po kościele — ile też dacie na wasz walący się kościół? Niespodzianie je to zaskoczyło, nie były przygotowane a złożyły tyle, że kilka razy trzeba było z tacy zsypywać — i ze 3 dni mnie ręka bolała.

Odwiedzali nas tu czasami sąsiedzi z Tymbarku, cieszyliśmy się nimi jak ludźmi z innego świata — aż się Dobrzanie dziwili. Między seryami była raz chwilka wolna, tośmy do przezacnego ks. kan. Kumorka wpadli, a kiedy

indziej udało nam się do Sącza zajechać i Siostry nasze odwiedzić.

Dużo zdaje się jeszcze upłynie czasu, zanim ta Dobra — dobrą zostanie. Nowy proboszcz wziął się do pracy z gorliwością — ale i z fantazyą, której nigdy nie traci, im więcej parafianie zbytkują, tem gorliwiej do nich się bierze — prawdziwy Hilary. Szkół tu jeszcze prawie wcale niema, parafia rozrzucona po wertepach o kilka mil karkołomnej drogi, to i nie dziw, że rzadko do kościoła zaglądają a tak pokolenie za pokoleniem dziczeje. Nastała teraz mania jeżdżenia światami po Węgrach, Prusach, Ameryce — to im jeszcze lepiej dogodziło. Żeby jakoś przerażającej ciemnocie duchowej zaradzić, nawiązaliśmy tu kilkadziesiąt róż — kółek żywego różańca, a zelator każdej róży otrzymał 1 egz. „Wykładu“ ks. Gawrońskiego z obowiązkiem, żeby co niedzielę i święto po nabożeństwie zbierał u siebie swoje kółko i czytał z tej książki, na ile czasu starczy. Udał się ten pomysł po innych parafiach sąsiednich, gdzieśmy poprzednio misyę dawali: lud się odciągnęło od karczem, które dawniej właśnie w tych czasach najliczniej nawiedzali, powstrzymało się go od czytania gazet zakazanych i niebezpiecznych, a umysł i serce zdrową, pożyteczną zasiliło strawą. Oby się to i tu przyjęło!.

Olszówka.

Są parafie i miejsca takie, gdzie mimowolnie misyonarz sercem przylgnie; ile razy znajdzie się w okolicy, to go coś do tej parafii ciągnie, żeby tam bodaj zajrzeć. Dobra to rzecz dla takich jak my włóczęgów, bo dalsze przeprawy przez te popasy się skraca znacznie i ułatwia. W Dobrej skończywszy misyę, mieliśmy się przeprawić aż do Olszówki; pracę skończyliśmy d. 8. marca a tam się miało dopiero 10go pod wieczór zacząć. Ponieważ zaś z Dobrej do Olszówki tylko przez Mszanę można się dostać, tak się sprawy poskładały, że jeszcze d. 8. marca zjechaliśmy do przezacnego ks. dziekana i kanonika Jankowskiego w Mszanie, by przez

2 dni u niego wytchnąć a miłemi po tutejszej misyi wspomnieniami nieco po Dobrej ożyć. Zbici, zmarnowani, zakatarzeni przybyliśmy tu pod wieczór, biedny śp. ks. Kamiński już ledwo dychał, a i nam młodszym Dobra porządnie dogryzła. Ludziska skądś się zwiedzieli, że do Mszany wstąpimy, i dalejże nazajutrz od samego rana ciągnąć jak na misyę. Tylkośmy msze św. poodprawiali, siedliśmy do spowiedzi. Mój Boże, pomyślałem sobie, to chyba nie spowiadać, ale akty strzeliste wzbudzać nad tym ludem, bardzo często, to i trudno było materyę do absolucyi znaleść — tak się od misyi poprawili. Ponieważ jednak przyszło narodu przeszło tysiąc, przesiedzieliśmy nad nimi cały dzień: nas 4, miejscowych 2, a jeszcze Kasina i Olszówka pomogły. Nazajutrz spowiadaliśmy jeszcze do południa, by przezacnym tutejszym księżom dopomódz i wywdzięczyć się choć w maleńkiej mierze za to, że nas i w Dobrej i na innych misyach tak życzliwie ratowali. Poczem odwiózłem na dworzec ks. Kamińskiego, który do szczętu zmarnowany, wrócił do Krakowa a myśmy młodsi puścili się stąd do Olszówki naprzód, potem do Kasiny i do Raciechowic. W Olszówce pierwszą, odkąd ta parafia istnieje, misyę dali nasi ze Stradomia konfratrzy w r. 1757. Było ich tu 4: ks. Kazimierz Ficieński, ks. Kazimierz Trutowski, ks. Bartłomiej Jeżowski i ks. Józef Borzym, a kleryk ze Seminaryum int. Michał Jaszewski katechizował. Misyą tą zajął się Roman Sierakowski, chorąży krakowski a dziedzic na Olszówce. Sam na wszystkie kazania chodził a znając dobrze lud miejscowy, informował misyonarzy o jego potrzebach. Zaczęli tę misyę 8go, skończyli 22. maja. Chodzili na nią nie tylko miejscowi, ale i z okolicznych parafii ludzie. Kazania bywały w kościele, tylko okna wyjmowano, żeby i ci co na cmentarzu byli, mogli słyszeć słowo Boże. Mieli dawniej nasi konfratrzy zwyczaj odprawiania solennej procesyi po polach ze stacyami, jak na Boże Ciało. Tu gdy się do tej procesyi zabierano, nadciągnęła ogromna chmura i deszcz tylko wisiał. Pomodlili się z ludem, niebo się wypogodziło — i mogli

wspaniale P. Jezusa uczcić. Po procesyi, gdy się lud zaczął do domów rozchodzić, lunął ogromny deszcz. Ogółem wyspowiadali wtenczas 2500. Proboszcz, ks. Jan Gałuszkiewicz, nie miewał kazań, bo się straszliwie jąkał, stąd lud bardzo słowa Bożego łaknął.

Bezpośrednio przed nami, w r. 1890, byli tu OO. Redemptoryści z misyą — i dobrze parafię przeorali. Przez 14 lat po tej misyi przybyło nieco zbytków, jak to między góralami; ale w gruncie naród tu bardzo poczciwy, do kościoła i księdza przywiązany, przytem pobożny, ofiarny i strojny, bo się dobrze mają. Mieszka tu tutejszy rodak, wysłużony profesor gimnazyum św. Anny, Dr. Rippel, ociemniały staruszek. — Wyspowiadał się w czasie misyi ku wielkiemu wszystkich zbudowaniu. Kościółeczek drewniany stary; parafianie sami napierali, żeby nowy, ładny wystawić; ale podzieliły się zdania: jedni byli za tem, żeby ten zabytek starożytności ratować (z nimi kolator), inni obstawali za nowym. Plebania wilgotna i grubo zniszczona. Jak tylko Olszowian gorliwość zbierze, to jedno i drugie jeszcze przed wizytą kanoniczną do należytego porządku doprowadzą. Misyę, respective renowacyą, rozłożyliśmy na 2 partye, a sąsiadów przybywało tylu, żeśmy nawet nie wiedzieli, kiedy się Olszówkę wyspowiadało. Poczciwy proboszcz tutejszy ks. Głuc wszędzie w okolicy pomagał, to też jak u niego jaka ruchawka nastanie, nie wiele ma kłopotu. Kiedyśmy kobiety spowiadali, przyszła też jakaś cyganka do spowiedzi, a że była głucha, odsyłali ją księża do zakrystyi. Ona zaś myślała, że się nią brzydzą. Zachodzi do zakrystyi a tam prawie ks. Zych z Rabki słuchał. Już i nie wie, jak tu prosić, żeby skutecznie było — wreszcie przyskoczyła i pocałowała go. Krzyku narobił: a uciekasz ty, — idź, nie mogę cię słuchać. Jak ludzie ustąpili, przecież jej się dostało.

Ogółem wyspowiadaliśmy tu: kobiet i dziewcząt 700, gospodarzy i chłopaków 500 a ślubowało wszystko, co było pod ręką. Krzyż po OO. Redemptorystach już spróchniał, po-

święciliśmy nowy na pamiątkę tej misyjki, która trwała od 10 do 16 marca.

Po skończeniu misyi w Olszówce przeprawiliśmy się przez górę, żeby odwiedzić ukochany nasz Niedźwiedź; stamtąd przybyliśmy znowu do Mszany, żeby przenocować i zbliżyć się do pola następnej pracy.

Kasina Wielka.

Tak się nazywa to miejsce, gdzieśmy nową mieli pracę podjąć. Nazywa się „wielka“ — a to maleńka parafia, co nieco nad 2000 dusz licząca. W maju 1895, od 5. do 13. było nas tu 4: ks. ks. Kamiński, Buchhorn, Krzyszkowski i ja. Szczegółowe sprawozdanie podane na ręce śp. ks. wizytatora Soubieille zamieściły „Roczniki“ nasze w tomie I. str. 159. Wyspowiadaliśmy wtenczas kobiet 600 razem z dziewczętami a chłopów i chłopaków 500. Kiedy tamta misya tak gruntownie się odbyła, obecną poprawkę urządziliśmy krótszą, tem bardziej, że czas naglił, bo już i połowa ś. postu minęła. Kasiniaki jednak należą do ludzi, „którzy się inaczej piszą a inaczej czytają“. Na oko takie to wszystko poczciwe, ułożone, biedne, aż się nie chce na nich ostrzej nacierać, ale jak się im lepiej przypatrzy, trzeba sąd o nich zaostrzyć. To cygany, szachraje przebiegli, żeby i niejednego Ormianina w pole wywiedli. Latem rozlezą się światami, jak gąsienice po kapuście, a na zimę wielu z nich brody zapuszcza i idą na „lachy“ po prośbie, udają, że się popalili — czyli „po pogorzelisku“. Na pierwszej misyi targowali się długo ze ślubowaniem, wreszcie przystali. Co z tego, skoro rzadki taki, któryby wiernie obietnic dotrzymał. Za złamaniem obietnic św. Trzeźwości poszła rozpusta i inne rozmaitości. Wogóle trzeba przyznać, że chyba rzadkośmy taką parafię natrafili, gdzieby tak o misyi pierwszej zapomniano, jak w tej Kasinie. Byłem tu poprzednio i teraz, ale więcej mi się pierwszy raz Kasiniaki podobały, niż na tej poprawce. Do pustot, skoków wszystko zapalone, starców nawet nie

wyjmując. Podstarzały pewien biedny komornik wydawał córkę za mąż. Nie stać go było na szumne wesele, więc sobie takie urządził: Kupił w kółku 2 garnce mąki na kołacz, ze Szczyrzyca przyniósł 1 1/2 garnca piwa; naspraszał pół Kasiny na wesele, a gdy ludzie zaczęli się schodzić, on skądś basów dorwawszy, zaczął po nich smykiem jeździć, jak przyszło do głowy, a na ludzi wołał: „Rany boskie, a pójdźcież chłopy, pójdźcie podskoczyć, bo strasznie pięknie idzie!“ Nawiedzali nas też tu sąsiedzi z Węglówki — ojczyzny ks. Dra kan. Ślósarza ze Lwowa. Pytałem ich raz, co nowego na Węglówce? Powiedzieli mi: Jegomość, wszystko musi być dobrze, bo u nas tak: naprzód Pan Bóg w Trójcy św. Jedyny, a potem Ślósarz“. A gdzieżeście N. Pannę podzieli? zapytałem. E! to inny znowu rachunek; Ślósarz nam powiedział, że będziemy już wnet mieli na Wąglówce Jegomościa“. I dobrze im przepowiedział, bo i mają. Wyspowiadaliśmy przy pomocy księży sąsiadów ogółem wszystkich 1200 osób — więc o 100 więcej, niż na poprzedniej misyi. Recydywistów ostro się gromiło; daj Boże, żeby posłuchnęli! Trwała ta misya od 17. do 20. marca inclusive. Zachwycił nas i tu św. Józef, a ponieważ tych Józefów teraz w świecie pełno i w okolicy jest ich tu kilku, uczciliśmy tego św. Patrona naprzód w Kasinie, dokąd się z okolicy ks. ks. Józefowie zjechali a potem jeszcześmy najpoważniejszemu z nich w Niedźwiedziu osobną wizytę zrobili. Na Kasinie zamknęliśmy cykl misyi terytoryum tarnowskiego.

Raciechowice.

Dnia 21 marca zrana wybraliśmy się znowu do Józefa, ks. Kuczka w Raciechowicach z misyą. Droga prowadzi przez Wiśniową, to i trudno było pominąć zacnego tamtejszego proboszcza, u któregośmy przed kilku laty pracowali. Od niego przybyliśmy do Raciechowic po południu i zaraz na „Gorzkich żalach“ rozpoczęliśmy pracę.

Była to misya nieco osobliwa. Raciechowice należą już do dyecezyi krakowskiej. Najprzewielebniejszy ks. biskup

Nowak, wizytując w r. 1901 dekanat myślenicki, znalazł w Raciechowicach pewne duchowne braki i niedobory. Przez 3 lata nalegał na nas, żeby tu dać renowacyę gruntowną i to zanim kolejka urzędowych misyi na Raciechowice wypadnie. Ściągało się z całą tą sprawą aż dotąd, bo położenie parafii jest tego rodzaju (odcięte od świata, kole daleko), że dla samych Raciechowic nie wartało osobno tłuc kości. Wzięliśmy je teraz, kiedy w sąsiedztwie wypadło nam podjąć misye, które dopiero co opisałem. Proboszcz już starszy człowiek, pracą i przygodami w Winnicy Pańskiej dobrze podkopany. Ta też misya, appendix do wizyty kanonicznej, jakoś nie bardzo była mu na rękę. Uspokoili go jednak życzliwi sąsiedzi; żeby się zaś i nas nie bardzo przestraszył, odwiózł nas tu na miejsce ks. prob. Mikuszewski z Wiśniowej. Dosyć chłodne były pierwsze chwile; to jednak krótko trwało, sytuacya się wyjaśniła i potem dzieliliśmy szczerze dole i niedole misyi. Plebania szczupła i wilgotna; za to obok jest wspaniały dwór W. Pani Maryi Retingerowej, która stale w Krakowie mieszka, a tu tylko na lato zjeżdża. Korzystając z Jej pozwolenia, mogliśmy tu wygodnie skołatane kości prostować. W całym dworze byliśmy sami i stary Kuba, emerytowany lokaj dworski a nasz wierny opiekun.

Niespełna $1 \frac{1}{2}$ wieku przed nami byli też tu nasi praojcowie stradomscy z misyą. Zaczęli na św. Kazimierza 4 marca 1758 a skończyli 28 marca. Było ich 4 tj. ks. ks. Ficieński, Konarski, Trutowski i Churchocki, a gdy ks. Trutowski śmiertelnie zachorował, przybył, aby go w pracy zastąpić ks. Wawrzyniec Tokarski. Był też z nimi kleryk seminarysta do katechizowania. Urządzeniem misyi zajęła się W. pani Morsztynowa, dziedziczka Raciechowic. Ks. Trutowskiego w ciężkiej chorobie otaczała najtroskliwszą opieką, nie odstępując go aż do śmierci, która nastąpiła 29 marca, tu też jego zwłoki złożono. Szczęśliwy misyonarz, że mu dał Bóg pociechę wśród żniwa, na polu pracy, pod chłopskimi płotami paść ofiarą niestrudzonej gorliwości! Parafia liczyła

podówczas tylko 900 dusz; w okolicznych parafiach słuchano równocześnie spowiedzi wielkanocnej, to też napływu wielkiego na misyi nie było: ogółem wysłuchali wtenczas 1800 dusz, naturalnie większą część penitentów stanowili ze sąsiedztwa tacy, którzy w swoich parafiach wyspowiadali się naprzód a potem poszli na misyę. Lud wogóle ochoczy, na słowo Boże ciekawy.

Myśmy nie bez pewnej tremy zaczynali tu pracę, gdy jednak pierwsze lody stajały, szło dalej wszystko spokojnie, a nawet przyjemnie. Okolica tu prześliczna, lud poczciwy, dworów dużo i po większej części bogobojny. Przezacny dziedzic z Glichowa, p. Stoczkiewicz kuzyn ks. Dihma często nas odwiedzał i fantazyi dodawał. Wogóle przekonaliśmy się tu znowu naocznie o prawdziwości starego przysłowia, że gdzie pasterz niedomaga, tam P. Jezus owieczek pilnuje — i dobrze im z tem. Rozdzieliliśmy parafian na 2 grupy. Kobiet i dziewcząt wyspowiadało się 750, gospodarzy i chłopaków 650 a ślubowało ogółem 1500 osób. Kiedy się pracę w kościele skończyło, korzystając z wolnej chwilki, odwiedziliśmy OO. Cystersów w Szczyrzycu, skąd nam na wszystkie misye dzielną wysyłano pomoc. Trwała ta misya od 21. do 27. marca inclusive. W Wielki poniedziałek, d. 28. marca ruszyliśmy na Dobczyce, Dziekanowice, Wieliczkę, Podgórze do swoich na Święta.

Ks. Józef Sokołowicz
N. K. Zgr. M.

Z powodu powrotu warszawskiego oddziału sanitarnego.

Z Portsmouth 29. sierpnia rozniosły po świecie druty telegraficzne wiadomość o zakończeniu krwawego dramatu, rozgrywającego się od 18 miesięcy na rozległych przestrzeniach Korei i Mandżuryi, po których polała się krew setek tysięcy ofiar. Port Artura, Jalu, Liaojan, Jantaj, Szaho, Mukden i Czuszima — to widownie najstraszniejszych scen tego dramatu, dla którego Rosya poświęciła 2 miliardy rubli i 430.000 zabitych, rannych i wziętych do niewoli, Japonia $1^1/_2$ miliarda rubli i 300.000 w jeńcach, rannych, zabitych. W tym samym dniu, kiedy świat dowiedział się o zawarciu pokoju między Rosyą i Japonią, wita Warszawa wracający z Dalekiego Wschodu ambulans; w domu Sióstr Miłosierdzia na Tamce płyną łzy radości na widok ukochanych towarzyszek, które przed 15 miesiącami wyruszyły na pole walki; wróciły dzisiaj wszystkie zdrowe, szczęśliwe, zadowolone ze spełnionego nad rannymi miłosierdzia.

W dniu szóstym lutego zeszłego roku zerwały się stosunki dyplomatyczne między Petersburgiem i Tokio, a już 8. lutego zaalarmowały stolicę nadnewską telegramy, donoszące o skutecznie wśród mroków nocnych dokonanym ataku floty japońskiej na eskadrę rosyjską w Porcie Artura. Niespodziewana ta dla Rosyi wiadomość dała z jednej strony hasło do gorączkowej mobilizacyi, z drugiej strony nawoływała do niesienia pomocy nieszczęśliwym ofiarom. To też codzień odchodziły na Daleki Wschód obok transportów wojska osobne pociągi sanitarne, wiozące na teatr wojny przedstawicieli różnych instytucyi dla opieki nad rannymi.

Zanim zajmiemy się losami polskiego ambulansu, warto zwrócić uwagę na organizacyę w Rosyi pomocy dla rannych

na polu walki, bo przez to zarysuje się wyraźniej całoroczna praca warszawskiego oddziału sanitarnego.

Instytucye, niosące pomoc rannym w czasie wojny dzielą się w Rosyi na 3 kategorye: Wojskowy Czerwony Krzyż, Towarzystwo Czerwonego Krzyża, wreszcie prywatne oddziały sanitarne i szpitale, tworzone przez rozmaite stowarzyszenia lub poszczególne warstwy społeczeństwa.

Czerwony Krzyż pierwszej kategoryi posiada organizacyę ściśle wojskową, jego tylko organom wolno podczas ognia bojowego unosić rannych z pola walki i dostarczyć im pierwszej pomocy. Osobny pułk opatrunkowy, zostający pod kierownictwem t. zw. komisyi ewakuacyjnej umieszcza chorych w szpitalach wojskowych, jeżeli zaś te nie wystarczą, szuka pomocy w innych oddziałach sanitarnych. Do drugiej kategoryi należy Towarzystwo Czerwonego Krzyża t, j. odłam międzynarodowej organizacyi, stworzonej na podstawie uchwał konwencyi genewskiej. W Rosyi otrzymało Towarzystwo specyalne zabarwienie, zajmując się w czasie pokoju różnemi dziełami humanitarnemi. Instytucya ta, rozrastająca się coraz więcej w rosyjskiem imperyum, ma w Petersburgu główny zarząd, którego kierownictwo objęła J. C. M. Marya Teodorówna. Kiedy zbliża się burza wojenna, powstaje w łonie Towarzystwa t. zw. komisya wykonawcza z prezesem na czele. Podczas ostatniej wojny zajmował stanowisko prezesa Woroncow-Daszkow, były minister Dworu. Chcąc stworzyć szpital prywatny dla rannych, trzeba się odnieść do tej komisyi, która wyznacza pełnomocników bądź dla całych grup szpitali, bądź dla pojedyńczych oddziałów. Pełnomocnicy reprezentują szpitale wobec rządu, kierują całym personalem lekarskim, felczerami i sanitaryuszami. Wszystkie prywatne oddziały sanitarne stanowią trzecią kategoryę instytucyi dla rannych na polu walki i posiadają wszelkie prawa Towarzystwa Czerwonego Krzyża. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej podzielono cały teren

walki na cztery okręgi sanitarne: portarturski, władywostocki, charbiński i mukdeński.

Bezpośrednio po wybuchu wojny udał się na Daleki Wschód Wojskowy Czerwony Krzyż, za nim zdążały setki prawosławnych Sióstr Miłosierdzia; zaczęły chodzić wieści o projekcie osobnego ambulansu finlandzkiego, niemiecko-ewangelickiego, a wiadomo było, że w wschodnich pułkach znajdowało się 15% do 40% Polaków. Należało i nam rozpocząć akcyę miłosierną dla nieszczęśliwych braci.

Wprawdzie już w pierwszych dniach wojny grupa obywateli warszawskich zastanawiała się nad projektem wysłania polskiego ambulansu na Wschód, ale sprawa cała dopiero zadrgała życiem, nabrała rozgłosu i zyskała pewną podstawę, dostawszy się w ręce J. E. ks. arcybiskupa W. Popiela, który jej odrazu nadał charakter katolicki, osadził na gruncie kościelnym: myśl szczęśliwa, bo obok krwawiących, rozdartych ciał, należało pociechą religijną koić zbolałe dusze, obok lekarzy i sanitaryuszów, potrzeba rannym kapłana, potrzeba im w chwilach dojmującego bólu kogoś, którjby zastąpił czułe serce i delikatną rękę matki, potrzeba Siostry Miłosierdzia. Na to też głównie skierował swoją uwagę dostojny organizator ambulansu, a przyklasnęli mu ludzie dobrej woli.

Siostry Miłosierdzia cieszą się w Królestwie niekłamaną sympatyą społeczeństwa, czego dowodem jest n. p. fakt, że w 1903. r. powstało około 10 nowych domów. W samej Warszawie pracuje około 300 Sióstr w 20 zakładach i szpitalach, służąc biednym i cierpiącym. Szpital Dzieciątka Jezus, dzieło niezapomnianego Misyonarza, ks. Baudouina i dom św. Kazimierza na Tamce, rozwijają najintenzywniejszą działalność; tam leczy się setki, tysiące chorych, tu znajduje się przytulisko dla 130 sierót i „Biuro informacyjne o nędzy wyjątkowej". Biuro co tydzień umieszcza w dziennikach nazwiska rodzin, najwięcej potrzebujących pomocy, stąd jałmużna dostaje się najbiedniejszym, najbardziej opuszczonym, a nie wpływa w kieszenie żebraków zawodowych. Jak wydatną jest praca tej instytucyi, wystarczy zaznaczyć, że

w 1903. r. wsparto 5000 rodzin kwotą 40.000 rubli. Samego chleba wydaje się w miesiącach zimowych do 3 500 bochenków, nie mówiąc o innych zasiłkach w naturze.

Kto tak umie wspierać biednych i leczyć chorych w Warszawie, kto gojenie cierpień ludzkich obrał jako zadanie swego życia, ten także potrafi opatrzyć rannego na Wschodzie żołnierza. Pod sztandarem miłosierdzia ruszył na Wschód



Szpital warszawski św. Wincentego w Charbinie.

„Czerwony Krzyż“, ruszyli lekarze i prawosławne Siostry; nie mogło też, nie powinno było tam braknąć Córek tego świętego, który pierwszy wyzwał do walki wszelki rodzaj cierpienia naraz. Ks. arcybiskup Popiel udał się na Tamkę do Siostry Sikorskiej, wizytatorki Sióstr Miłosierdzia w Królestwie, prosząc o Córki św. Wincentego do projektowanego ambulansu. Nie mogło być dwóch odpowiedzi, bo Siostry Miłosierdzia należą tam, gdzie jest cierpienie, tam czują się w domu.

Chodziło jeszcze o zgodę gubernatora warszawskiego, lecz i tu nie spotkano trudności. Gubernator, przejrzawszy papiery „Czerwonego Krzyża“ z r. 1877. i 1878., znalazł w nich dowody czułej i skutecznej opieki Sióstr Miłosierdzia nad nieszczęśliwemi ofiarami wojny; wyjechał też niebawem do Petersburga, gdzie nie tylko uzyskał pozwolenie na polski ambulans, ale wyjednał dla niego wiele znaczącą protekcyę J. C. M. Maryi Teodorównej, naczelnej kierowniczki Towarzystwa „Czerwonego Krzyża“. Zgodzono się w Petersburgu nawet na ambulans lotny tak, iż członkowie jego mogli pracować na pobojowisku, zasłanem rannymi.

Po tej dyplomatycznej pracy przygotowawczej wydał J. E. ks. arcybiskup odezwę, kończącą się wyrazami, które malują cały plan przedsięwzięcia: „Otrzymawszy obecnie pozwolenie, przystępuję w Imię Boże do dzieła i przedsiębiorę zorganizowanie oddziału sanitarnego, złożonego z 5 Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, kapelana, 2 lekarzy i odpowiedniej liczby sanitaryuszów, słowem całości samej w sobie, wymaganej do obsługiwania 25 łóżek, która podąży na miejsce przeznaczenia. Czyniąc ten krok, nie wątpię na chwilę, iż znajdę oddźwięk w litościwych sercach, że w imię miłości bliźniego szczodrobliwość ich pozwoli mi rozpoczęte dzieło do skutku doprowadzić“.

Do chwili wydania odezwy wpłynęły już na ręce ks. arcybiskupa 62.000 rubli; na dalsze ofiary można było liczyć. Pracą nad oddziałem sanitarnym kierował osobny komitet, na którego czele stanął pełen rzutkiej energii ks. kanonik Zygmunt Chełmicki, wspierany radą ks. biskupa Ruszkiewicza i Ludwika Górskiego, znanego powszechnie z chrześciańskiej akcyi dobroczynnej. Zorganizowanie ambulansu zlecił ks. arcybiskup dr. Konstantemu Sierpińskiemu, lekarzowi duchownego Seminaryum warszawskiego. Nie można było znaleść lepszego organizatora. Na prośby p. Sierpińskiego ofiarowali ambulansowi swoje usługi młody lecz wybitnie zdolny dr. Łubieński i dr. Szczeniowski, dawny lekarz wojskowy, który znakomicie poznał Mandżuryę podczas kam-

panii chińskiej z r. 1900. Duszą jednak ożywczą, *spiritus movens* całej wyprawy miłosiernej miał zostać pełen werwy i kipiącego życia, przedsiębiorczy i zdolny hr. Ksawery Orłowski, który na wieść o formującym się warszawskim ambulansie porzucił swoje zaciszne Jarmolińce na Podolu, aby bezinteresownie podzielić trudy oddziału sanitarnego. Później miało się okazać, że hr. Orłowski był dla ambulansu człowiekiem opatrznościowym. Niemniejszy skarb zyskano w osobie ks. Matulanisa, proboszcza z Orłowa, kapłana tak świątobliwego i pełnego współczucia dla cierpiących, iż sam arcybiskup zapewniał Siostrę wizytatorkę, żeby nie mógł znaleść w dyecezyi dla Sióstr lepszego kapelana, dla nieszczęśliwych czulszego opiekuna.

Równocześnie wyznaczono Siostry, które miały wziąć udział w pracach ambulansu. Ze Skierniewic powołano Siostrę Kazimierę Zagańską, zajętą w tamtejszym szpitalu. Administratorowie tego szpitala żegnali odjeżdżającą siostrę niemal ze wzruszeniem, prawosławny zaś naczelnik obwodowy ofiarował jej srebrny medalion Matki Boskiej Częstochowskiej, jako tarcz obronną przeciw wszelkim niebezpieczeństwom. Z podobnemi oznakami czci żegnano w warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus Siostrę Władysławę Zawadzką, której znów doktor Maksimow, prawosławny, wręczył w imieniu grona lekarskiego złoty medal Matki Boskiej Częstochowskiej, zapewniając, że za tym świętym puklerzem Siostra nie zginie. Głęboki smutek zapanował wśród dziewcząt zakładu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, gdy się dowiedziały, że na Wschód rusza także ich ukochana Siostra Marya Żelaznowska. Z domu centralnego na Tamce wyznaczono do ambulansu Siostrę Jakóbinę Zarembę, która swoją troskliwą opieką nad rannymi żołnierzami miała sobie u nich zyskać przydomek m á m u s z k i. Siostrą starszą całej grupy mianowano Siostrę Teresę Ginter, przełożoną t. zw. „Hygieny“ t. j. szpitala dziecięcego w Warszawie.

W kwietniu zgromadziły się wymienione Siostry w domu macierzystym na Tamce, pobudzającym samą przeszłością

swoją do poważnych myśli, do ofiary. Do wielkiego zadania miały się przygotować w tym domu, z którego Seminaryum już od 3 niemal wieków rozchodzą się Córki św. Wincentego po polskiej ziemi, aby prowadzić dalej misyę swego św. Założyciela. Żywa jeszcze jest pamięć, jak z tego samego domu przed 27 laty wyruszyło 5 Sióstr na pole wojny rosyjsko-tureckiej wśród łez, błogosławieństwa i żarliwej modlitwy świątobliwej wizytatorki, Siostry Szwarc; teraz zaś, po 27 latach w kaplicy domowej na Tamce znowu 5 Sióstr klęczało codzień wspólnie przed tabernakulum, nad którem spoczywa od czasu do czasu Zbawiciel w promiennej monstrancyi z napisem: „Miłosierni miłosierdzia dostąpią"; monstrancyę tę darowały Siostrze Szwarc schizmatyckie Panie „Czerwonego Krzyża" w uznaniu trudów i opieki Sióstr Miłosierdzia nad rannymi podczas wspomnianej kampanii. Zbawiciel, *Panis confortans*, który tchnął siłę poświęcenia w serca Sióstr przed 27 laty, błogosławił i teraz z tego samego tabernakulum ich następczyniom. Siostry Zawadzka i Zaremba pojechały nadto do Częstochowy, gdzie z Jasnej Góry, jak z wysokiego tronu litości, Najświętsza Panna zlewa w duszę nadziemską moc, a nieraz spełnia cud, im zaś tak bardzo było potrzeba tej siły z nieba i cudu łaski.

Wzmocnione na duchu, natchnione do ofiary, rozpoczęły Siostry gorliwie pracę przygotowawczą, wydzieloną im przez komitet. Zakupywano w wielkiej ilości suszone jarzyny, zgęszczone mleko, wędliny, herbatę, wino, koniak i t. d. tak, iż zapasy spiżarni mogły starczyć dla całego ambulansu na 3 miesiące. Dla rannych przygotowywano pospiesznie bandaże i bieliznę, szyto ciepłe ubranie dla personalu ambulansowego, lekarstwami napełniono 15 skrzyń, wprawiano się wreszcie w opatrywaniu ran po szpitalach warszawskich. Lekarze zakupili tymczasem instrumentów chirurgicznych za 1500 rubli. Ponieważ ambulans miał być lotnym, zatem największego starania wymagało urządzenie baraków, któreby chroniły od wiatrów i ostrych mrozów Mandżuryi. Za cenę 3500 rubli dostarczyła pewna firma warszawska 10 baraków,

z których trzy przeznaczono dla chorych, czwarty na salę operacyjną, piąty na kuchnię, szósty na kaplicę i mieszkanie dla ks. kapelana, siódmy dla lekarzy, ósmy dla Sióstr, dziewiąty dla służby, ostatni dla pełnomocnika, hr. Orłowskiego. Ponieważ obszerne te namioty miały dach z podwójnej warstwy nieprzemakalnego płótna, ściany zaś boczne podbito grubem żołnierskiem suknem, można było w nich utrzymać nawet przy bardzo nizkiej temperaturze dość wysoki stopień ciepła, zaopatrzywszy się w piece naftowe. Nie żałowano pieniędzy, byleby ambulans urządzić wzorowo; to też zorganizowanie jego pochłonęło 20.000 rubli. Nie obawiano się deficytu, bo składki przekroczyły już sumę 100.000 rubli, skoro 25.000 rubli nadesłano z Łodzi.

Wyjazd, naznaczony zrazu na 17. maja, odroczył dla transportu wojska rozkaz rządu do 3. czerwca. Tymczasem Wschód zasnuwał się coraz ciemniejszemi chmurami, coraz smutniejsze stamtąd dochodziły wieści, przerywane niekiedy rzewnymi listami polskich żołnierzy, którzy z pola wojny wyciągali błagalną dłoń do swoich rodzin, do rodaków — nie po pieniądze, ale po książki do modlitw, po krzyżyki i medaliki Matki Boskiej, wołali o kapłana, nie chcąc umierać bez rozgrzeszenia, przysyłali nawet składkowy, niezbędny grosz żołnierski, aby za nich odprawiono mszę świętą. Takie wołania musiały niecić zapał i poświęcenie, budzić niecierpliwość w tych sercach, które już od miesięcy rwały się do ofiary, chciały nieść pociechę oderwanym od strzechy rodzinnej, rzuconym w obcy kraj, gdzie panowała śmierć.

Nadszedł wreszcie termin wyjazdu, dzień 3. czerwca. O godzinie 8. rano na intencyę ambulansu odprawił J. E. ks. arcybiskup mszę świętą w prywatnej swej kaplicy, poczem sam bardzo wzruszony, przemówił do obecnych, podnosząc piękność dopełniającego się dzieła miłosierdzia, błogosławiąc odjeżdżającym. Wzruszenie ks. arcybiskupa udzieliło się słuchaczom tak, iż wszyscy ze łzą w oku całowali jego błogosławiącą rękę. Dłuższa niż zwykle była dzisiaj modlitwa Sióstr, bo trudne i ważne rozpoczynały dzieło.

O 4. godzinie po południu wyjechały Siostry na dworzec terespolski, gdzie już na oddział sanitarny czekał osobny pociąg, składający się z wagonu II. klasy dla pełnomocnika, lekarzy i Sióstr, z wagonu IV. klasy dla sanitaryuszów i 3 wagonów towarowych, przeznaczonych na pomieszczenie baraków, pralni, instrumentów chirurgicznych i t. d. W ostatniej chwili ledwie nie wybuchł strejk wśród sanitaryuszów, skoro zobaczyli zamiast obiecanego wagonu III. klasy, czekający na nich wagon towarowy ze zbitemi na prędce pryczami. Burzę zażegnał hr. Orłowski, odzywając się wesoło do niezadowolonych: „Ja jadę z wami razem tym samym wagonem".

Gromadkę odjeżdżających otoczył tłum publiczności, wyrażający głośno swoje uznanie zarówno dla Sióstr i ks. kapelana jak dla hrabiego, lekarzy i sanitaryuszów, rzucających własne rodziny, aby pracować dla nieszczęśliwych z narażeniem własnego życia. Nadeszła ostatnia chwila. Dwóch starców: arcypasterz i Ludwik Górski, kurator domu na Tamce, żegna Siostry znakiem krzyża. „Ostatni dzwonek! — pisze obecny scenie pożegnania korespondent „Słowa", obnażają się głowy mężczyzn, powiewają chustki, unosi się ręka w fioletach i błogosławi na trud, na znój, na poświęcenie. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" — rozbrzmiewa głos ks. kanonika Chełmickiego". — „Na wieki wieków" — pada z okien, w których po raz ostatni migają białe kornety i czarna suknia, kaszkiety lekarzy i biała czapka hrabiego".

Gdy pociąg był w pełnym biegu, zaintonował ks. Matulanis z wezbranej uczuciem piersi: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą", sanitaryusze zaś, tęgie Mazury, podchwyciwszy słowa, śpiewali dalej „zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą", i mknął naprzód pociąg ku Wschodowi, świecącemu łuną pożaru wojennego, a z okien wagonów wydobywały się apostrofy godzinek do Najświętszej Panny. Matka Częstochowska błogosławiła swym poczciwym synom: już w Brześciu otrzymali sanitaryusze wagon III. klasy w miejsce wagonu towarowego, w którym byli skazani na

przymusowe podskoki. Odtąd to radość tryskała z oblicza podróżnych, to rozrzewnienie chwytało za gardło, bo na stacyach rodacy nasi czekali na pociąg sanitarny nieraz całemi godzinami, witali z uniesieniem Siostry Miłosierdzia, błogosławili odjeżdżającym, czasem wsiadali do wagonu i towarzyszyli ambulansowi przez kilka godzin. Mijały stacye Brześć, Homel, za Uralem już Czelabińsk, Kurhan, Nowo-Mikołajewsk, Irkuck. Pobyt w Irkucku i dalszą podróż opisuje hr. Orłowski w liście z 2. lipca 1904. r. w następujących słowach: „Polacy w Irkucku oddawna nas oczekiwali. Nie potrzebowałem więc kłopotać się o Siostry. Znalazły one chętne opiekunki, które się niemi zajęły i uprzyjemniały pobyt. Dnia 29. czerwca w ślicznym gotyckim kościółku odprawił ks. kapelan Matulanis mszę świętą, a zaraz po nim miejscowy proboszcz, od lat 40 na Syberyi przebywający ks. Rózga, kronika chodząca zesłańców. Państwo Berezowscy przysłali swe córki z guwernantką, wychowanicą hotelu Lambert, aby zaprosić Siostry do siebie na letnie mieszkanie, gdzie je czekało śniadanie wyborne. Obiadem przyjmowali Siostry państwo Kurczyniowie, właściciele kilku cukierni w Irkucku. W czasie obiadu zjawił się p. K. Kulczycki, naczelnik stacyi Bajkał, aby się ze mną co do przeprawy oddziału umówić. Jemu zawdzięczamy ogromne ułatwienie przy przeładowywaniu naszych ręcznych rzeczy i naszych osób z wagonów na statek „Angara“, gdzie p. Zabłocki, naczelnik ruchu na jeziorze, kazał zarezerwować dla Sióstr kilka najlepszych kajut. Burza na Bajkale była przyczyną, że Siostry nieco chorowały. I mnie burza dała się we znaki, nie przeszkadzało to jednak, że wspaniałe to jezioro, okolone uroczemi górami, niemałe na mnie estetyczne zrobiło wrażenie. Hrabia Orłowski kończy list opisem ostatnich chwil jazdy w natłoczonym i dusznym wagonie III. klasy. Po 36-dniowej podróży przybył wreszcie ambulans warszawski do Charbina szarym rankiem 8. lipca, witany na brudnym, nizkim dworcu przez Stanisława Gabriela, dyrektora banku chińsko-rosyjskiego i innych Polaków. Na tymczasowe miesz-

kanie zaprosiły podróżnych do siebie polskie rodziny, Siostry n. p. zabrali do siebie państwo Romanowie, gdzie im było dobrze jak w raju.

Hr. Orłowski rozpoczął natychmiast starania, żeby ambulansowi wyznaczono stanowisko, lecz nie było w Charbinie ani głównego pełnomocnika „Czerwonego Krzyża“, ani jego



Sala żołnierska.

zastępcy; znalazł się tylko zastępca zastępcy, który radził Orłowskiemu złączyć oddział sanitarny warszawski z jekaterynosławskim i utworzyć wielki szpital dla dotkniętych epidemią. Propozycyę tę odrzucił hr. Orłowski; nie dlatego wydano 1500 rubli na instrumenta chirurgiczne, aby rdzewiały, nie dlatego zakupiono doskonałe baraki, aby je zaraz napełnić mikrobami przez przyjęcie epidemicznych, których chciano się koniecznie pozbyć po szpitalach. Zwrócił się

zatem do głównodowodzącego tyłami armii generała Naradowa, który wbrew swej sławie nieprzystępnego Attyli przyjął z radością wiadomość o przybyciu polskiego ambulansu, ucieszył się przedewszystkiem obecnością katolickiego kapłana i polecił natychmiast roztoczyć opiekę nad rannymi, lecz nie przyjmować pod żadnym warunkiem epidemicznych.



Sala oficerska.

Przekonał się niebawem hr. Orłowski, że trudną będzie do wykonania myśl ks. arcybiskupa, żeby oddział polski w charakterze ambulansu lotnego zbierał rannych, posuwając się za armią walczącą. Najpraktyczniejszem okazało się urządzanie stałych szpitali i dlatego też pstry, różnojęzyczny Nowy Charbin zamienił się teraz w Charbin wojskowy i szpitalny; zaroiło się w nim od żołnierzy, lekarzy i prawosławnych Sióstr Miłosierdzia, z 32 domów powiewała biała chorągiew

z czerwonym krzyżem. Wszędzie grozie wojny towarzyszył cichy duch poświęcenia i miłosierdzia. Wobec przepełnienia w Nowym Charbinie zwrócił hr. Orłowski uwagę na Charbin Stary a specyalnie na 3 zabudowania, które ongi nazywano teatrem i hotelem, obecnie fabryką tytoniu, Orłowski zaś za cenę 5000 rubli rocznej dzierżawy nazwał je „Szpitalem warszawskim św. Wincentego a Paulo"; żeby jednak zamienić fabrykę na szpital, trzeba było budynek gruntownie oczyścić i w pewnych szczegółach przebudować, co pochłonęło drugie 5000 rubli. Tymczasem rozpięto w ogrodzie, wśród kwiatu kaukaskiego tytoniu, przywiezione namioty i umieszczono w nich 5. sierpnia poraz pierwszy rannych, którymi się gorliwie zajęły Siostry Miłosierdzia. Pod okiem niestrudzonego hr. Orłowskiego skończyła się adaptacya budynku; obowiązki starszego lekarza objął dr. Orzeł w miejsce dra Szczeniowskiego, który z powodu choroby musiał wrócić do Warszawy. Sale szpitala zapełniły się chorymi. Teraz nastały chwile, kiedy Siostry Miłosierdzia według woli św. Wincentego nie w klasztornych mieszkały murach, lecz w domu chorych i rannych, celą ich była najęta izdebka, kaplicą ich kaplica nieszczęśliwych, gankami klasztornymi izba szpitalna, kratą bojaźń Boża. Olbrzymią salę żołnierską na 80 łóżek oddano w opiekę Siostrze Zarembie, mniejszą salę oficerską Siostrze Zawadzkiej; Siostra Żelaznowska zajęła się pralnią i gospodarstwem, apteką i salą operacyjną starsza Siostra Ginter. Zarówno lekarzom jak i Siostrom chodziło o wytworzenie w polskim szpitalu atmosfery serdecznej, rodzinnej, aby ranni czuli się w nim jak pod własną strzechą. W kaplicy, stworzonej przez ks. Matulanisa, umieszczono w ołtarzu zabrany z domu na Tamce obraz św. Wincentego: podnieta do poświęcenia dla jednych, zwiastun osłody dla drugich. Codzień schodzili się tu ze szpitali ranni Polacy na mszę św. i nieszpory, w niedzielę zaś napływały jak na odpust całe tłumy, zapełniały podwórze, chwaląc Pana Boga polską pieśnią na obcej ziemi. Szpital św. Wincentego nie był jednak wyłącznie przeznaczony dla rannych rodaków, bo

obok i ponad atmosferą rodzinną unosił się tam duch chrześcijańskiej miłości i poświęcenia, który nie zna różnic narodowościowych, zna tylko cierpienie i obowiązek jego leczenia: wprawdzie drzwi szpitala najczęściej otwierały się dla Polaków, ale nigdy nie zamknęły się dla Rosyanina a nawet żyda.

Szczególniej miło, ciepło i jasno było w sali żołnierskiej nie tylko dlatego, że w olbrzymią salę od południa spływały



Siostra Zaremba wśród rannych żołnierzy.

strugi światła słonecznego przez 11 wielkich okien, lecz przedewszystkiem Siostra Zaremba, łącząc ze zręcznością opatrywania ran umiejętność kojenia zbolałych dusz, była tu dla wszystkich jakby matką, jak matka odmawiała z rannymi poranne i wieczorne pacierze, na ścianie zaś zawiesiła wielki krzyż, aby oko nieszczęśliwych, spoglądając na rozpiętego w boleściach konania Zbawiciela, czerpało stąd osłodę dla

duszy. Nic też dziwnego, że polscy żołnierze nazywali Siostrę Zarembę swoją najdroższą mateczką, rosyjscy zaś krótko lecz dobitnie mámuszką. Jak bardzo chorzy przywiązali się do swej opiekunki, dowodzi n. p. to, że z kul, jakie wydobyto z ich ran, zrobili krzyż i darowali go Siostrze Zarembie, bo ona te rany tak skutecznie leczyła; innym Siostrom darowano krzyże z kul japońskich, pozbieranych na pobojowisku. Trudne do spełnienia zadanie miała w sali oficerskiej Siostra Zawadzka, gdzie między innymi leczyli się hr. Kutuzow, ks. Jaime de Bourbon, ks. Napoleon Murat i brat króla serbskiego, ks. Arseniusz Karageorgiewicz. Trzeba było wiele taktu i przenikliwości, żeby tych chorych zadowolnić, a zadowoleni byli wszyscy.

Wielki był napływ rannych w październiku po 10-dniowej, morderczej bitwie pod Laojanem, gdzie pół miliona ludzi staczało straszny bój, a 2000 dział zionęło gradem kul, wśród którego Rosyanie wykonali odwrót na Mukden; w samem tem mieście leżało 12.000 rannych w szpitalach „Czerwonego Krzyża". W polskim oddziale sanitarnym pielęgnowały wtenczas Siostry 150 rannych, zatem 6 razy więcej, aniżeli przypuszczano w Warszawie, organizując ambulans na 25 łóżek. Praca zmniejszała się zbiegiem czasu, gdy na teren wojny powoływano coraz większą liczbę lekarzy, tworzono coraz nowe wojskowe szpitale. Polski oddział sanitarny posiadał jednak coś, co przyciągało rannych Polaków i Rosyan, tam chciano się leczyć. W księdze pamiątkowej szpitala znajduje się wiele nazwisk zarówno pacyentów jak i odwiedzających, którzy wyrażali swój podziw dla czułej opieki, roztaczanej nad chorymi w oddziale sanitarnym warszawskim. Aleksiejew rozdał w sali żołnierskiej kilka orderów, do Warszawy zaś wysłał ks. arcybiskupowi telegram dziękczynny za zorganizowanie ambulansu; generał Rennenkampf po polsku bardzo serdecznie dziękował Siostrom za ich gorliwą pracę. Niemirowicz Danczenko, sławny z barwnych korespondencyi z pola walki, pisał do „Ruskiego Słowa": „Zwiedziłem w Starym Charbinie szpital warszawsko-łódzki. W szpitalu widziałem

tak Polaków jak i naszych dońskich kozaków i sybiraków pierwszego korpusu. Rekonwalescenci wyrażali wdzięczność szarytce Zarembie, która się nimi opiekowała i płakali, całując jej ręce. Serdeczniejszego stosunku do żołnierza, udręczonego przez wojnę, nie napotykałem. Żołnierze-Rosyanie, którzy tu przeleżeli czas dłuższy, ze wzruszeniem wspominają o Siostrach, które ich pielęgnowały".

Od listopada do lutego panował względny spokój, przez co opróżniały się szpitale prywatne wobec ciągle wzrastającej liczby wojskowych lazaretów. W lutym, po krwawej bitwie pod Sandepu, przybyło znów do szpitala kilku oficerów i kilkunastu rannych rezerwistów, pochodzących z pod Częstochowy, Sosnowca i Kielc. Bitwa pod Mukdenem dostarczyła jeszcze więcej rannych. Nastała przerwa w operacyach wojennych, zaczęto mówić o pokoju. Ponieważ w samym Charbinie były już 32 szpitale wojskowe z 40.000 łóżek, więc Towarzystwo „Czerwonego Krzyża" i organizacye prywatne zaczęły zwijać swoje lazarety. Na wezwanie ks. arcybiskupa zakończył także szpital polski swoją działalność, mając 21.000 dni szpitalnych. Koszta utrzymania szpitala w Charbinie wynosiły 80.000 rubli; leczyło się w nim przeszło 500 rannych, z których tylko 6 czy 7 umarło.

Ósmego sierpnia, t. j. w dzień odjazdu warszawskiego oddziału sanitarnego, zebrali się na dworcu charbińskim wszyscy pełnomocnicy „Czerwonego Krzyża", cała kolonia polska, mnóstwo oficerów i szeregowców, żegnano Siostry i ks. Matulanisa z oznakami głębokiego żalu. Dzienniki miejscowe stawiały odjeżdżający polski szpital innym za wzór. Skończyły się dla Sióstr Miłosierdzia dni pracy na obcej ziemi pod okiem tysięcy świadków, miało się rozpocząć w rodzinnym kraju zwykłe życie Córek św. Wincentego — ukryte, lecz niemniej zasługujące, jeżeli równie pracowite, bezpieczniejsze, bo bez rozgłosu.

Ks. Konstanty Michalski.

Siostry Miłosierdzia w Galicyi w czasach Józefinizmu.

Ks. Prałat Władysław Chotkowski, tak chlubnie znany na polu historyi kościelnej, dziejopisarz i profesor wszechnicy Jagiellońskiej, wydał w połowie b. r. nowe dzieło p. t. „Historya polityczna dawnych klasztorów panieńskich (1773—1848), opracowana na podstawie aktów cesarskiej kancelaryi nadwornej. Dzieło to, w trzech czwartych częściach poświęcone zakonom żeńskim kontemplacyjnym i klauzurowym, obejmuje w ostatniej części historyę Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w dawnej Galicyi. W streszczeniu podajemy tu czytelnikom „Roczników“ ciekawe i więcej interesujące szczegóły z tej ostatniej części, o ile one dotyczą Sióstr Miłosierdzia w epoce Józefinizmu.

Po pierwszym rozbiorze Polski w r. 1772. przypadła Austryi część Małopolski z Zamościem i większa część Rusi Czerwonej, t. j. prawie dzisiejsza Galicya z wyjątkiem Krakowa. W tej części Polski miały Siostry Miłosierdzia cztery domy, z których trzy należały do archidyecezyi lwowskiej, t. j. domy we Lwowie, Maryampolu i Rozdole, a jeden dom w Brodach należał do ówczesnej dyecezyi łuckiej; wszystkie te domy przeszły teraz pod panowanie austryackie. Za panowania Maryi Teresy nie odegrały Siostry Miłosierdzia żadnej ważniejszej roli; cesarzowa chciała krom innych stosunków kościelnych i klasztory zreformować i ograniczyć ich liczbę, lecz tego już nie zdołała dokonać. Marya Teresa była zresztą osobą pobożną, lecz wogóle nie zdawała sobie sprawy z dążności otaczających ją sekciarzy i oświecicieli, tylko osobistość cesarzowej trzymała jeszcze nowatorów w pewnych granicach. Reformę stosunków religijnych w Austryi przeprowadził dopiero syn Maryi Teresy, cesarz Józef II.; wychodząc jednak z innego punktu widzenia, niż jego pobożna matka i z fał-

szywych zasad wieku oświecenia, dokonał raczej przewrotu, a ustawami państwowemi ubezwładnił Kościół na długie lata. Sprawę klasztorów męskich i żeńskich rozstrzygnął pospiesznie, skazując z góry na zniesienie wszystkie zakony kontemplacyjne i klauzurowe. Ocalały tylko klasztory i domy zakonne, służące publicznemu pożytkowi, a więc takie, które pielęgnowały chorych, utrzymywały pensyonaty lub szkoły publiczne. W Galicyi zniesiono wówczas 165 klasztorów z 2.330 członkami i 23 klasztory żeńskie z 635 zakonnicami. Szkoda wyrządzona katolicyzmowi była także stratą dla narodowości, ponieważ klasztory te, razem z dworami, były zarazem placówkami tak kolonizacyi polskiej na dalekiej Rusi, jak latynizacyi tych krajów; ostatecznie na tych klasztorach opierała się, jak i dziś jeszcze się opiera, we wielkiej mierze żywotność łacińskiej archidyecezyi lwowskiej, której wierni byliby inaczej utonęli wśród przeważającego elementu ruskiego. Teraz utworzył rząd austryacki z dóbr poklasztornych, w olbrzymiej części łacińskich, tak zwany fundusz religijny, który naturalnie wyszedł na większą korzyść uboższych Rusinów, liczebnie silniejszych i większe potrzeby kościelne mających.

Siostry Miłosierdzia i ich domy zaliczono do rzędu zakonów i instytucyi państwu i społeczeństwu pożytecznych, bo zajmowały się pielęgnowaniem chorych po szpitalach i wychowywaniem sierot; dlatego też przy znoszeniu klasztorów czyli t. zw. abolicyi, uniknęły nie tylko kasaty, ale nawet spotkała je jawna ze strony cesarza Józefa protekcya i dzięki tej przychylności przebyły szczęśliwie tę ciężką próbę i utwierdziły podwaliny swego bytu prawnego wobec państwa i urzędów. Oprócz Sióstr Miłosierdzia istniały w Galicyi cztery klasztory Bonifratrów: w Przemyślu, Zamościu, Zebrzydowicach i Lwowie, lecz i te klasztory zniósł cesarz, uzasadniając to fałszywie tem, że niedbalstwo i inne wady mają Bonifratrzy wspólne z wszystkimi galicyjskimi zakonnikami; „należy ich zatem przenieść do Lwowa do tamtejszego klasztoru, częścią zaś przesiedlić do innych krajów dziedzicznych — ponieważ po większej części są Niemcami". Miejsce

Bonifratrów w Przemyślu, Zamościu i Zebrzydowicach miały zająć Siostry Miłosierdzia; tak więc jedynie czynnemi na polu miłosierdzia chrześcijańskiego zostały Szarytki, już bez wszelkiego współzawodnictwa, przy wielkiej przychylności cesarza. Najcięższa próba spadła na Siostry Miłosierdzia zaraz na początku rządów Józefa II. Cesarz, pragnąc nagiąć wszystkie zakony do raz powziętej fałszywej zasady, postanowił i Szarytki oderwać od przełożonego generalnego w Paryżu. Inne zakony miały ustrój prowincyonalny i rządziły się samodzielnie, z tymi więc łatwo poszło cesarzowi, któremu w dodatku pomagało gorliwie wielu biskupów, zarażonych błędami XVIII. wieku, którzy pragnęli swą władzę rozciągnąć i na zakony. Wszystkie prowincye austryackie Sióstr Miłosierdzia odpadły wtedy lub nieco później od O. Generała w Paryżu; niektóre z nich, jak prowincya węgierska, Krainy i Kroacyi do dziś dnia pozostają jeszcze w odszczepieństwie, inne powróciły już do jedności. Jedynie ówczesna prowincya galicyjska Sióstr Miłosierdzia wytrwała przy łączności z O. Generałem i tę łączność, choć ograniczoną w pewnej mierze, obroniła i wywalczyła. Całą walkę o to przeprowadziła ówczesna wizytatorka Sióstr galicyjskich, S. Franciszka Saulais, rodem z Francyi. Ocalone klasztory i domy zakonne musiały się poddać drobiazgowej kurateli zarządów prowincyonalnych; dotknęło to teraz i Szarytki. Dotychczas cieszyły się Siostry Miłosierdzia w Polsce najzupełniejszym samorządem tak wewnętrznym jako i zewnętrznym. Teraz nagle spada na nie w Galicyi ostra kontrola rządowa, dochodząca wprost do rzeczy najdrobniejszych i czysto domowych, a dotykająca nawet ustroju Zgromadzenia. Rozpoczęły się więc spisywania protokółów, rachunków, podań, idących w nieskończoność; był to ciężar nielada, który do dziś dnia przygniata jeszcze Siostry Miłosierdzia, zarządzające publicznemi instytucyami. I do tej ścisłości kontroli nie mogły się przyzwyczaić Siostry; ciągle słychać skargi na ich niedbałość w kancelaryi nadwornej, a w roku 1800. zarzuca im baron Erggelet, referent galicyjskiej kancelaryi nadwornej, że z zakładowych majątków nie podawają rachunków, ukrywają

pewną część dochodu przy opodatkowaniu i t. d. Wogóle, postulatom rządu końca nie było; z całej tej zawieruchy wybrnęła jednak szczęśliwie Matka Wizytatorka. Zrazu i do Sióstr Miłosierdzia zastosowano ostrość dekretu, wydanego jeszcze za Maryi Teresy, a obostrzonego przez cesarza Józefa II., że wszelka łączność z zagranicznymi przełożonymi i składanie profesyi w ich ręce jest surowo wzbronione. Matka Wizytatorka miała wtedy pod swym zarządem 4 domy, a w nich 34 Siostry, t. j. 17 we Lwowie, 5 w Brodach, 4 w Rozdole, 6 w Maryampolu a chwilowo 2 w Przemyślu. Ta mała prowincya, odcięta od Warszawy i Krakowa, była więc skazaną na zagładę, bo niemiała swego seminaryum. W 1781. roku postanowiła Matka Wizytatorka stworzyć seminaryum i prosiła rząd o pozwolenie przyjęcia kilku kandydatek. Z tem żądaniem stanęła przed gubernatorem Galicyi, br. Brigido, który nieomieszkał oznajmić jej niezłomnej woli cesarza co do stosunku z zagranicą; życzliwie usposobiony dla Sióstr Miłosierdzia, posłał ich prośbę do Wiednia. Odpowiedź cesarska wnet nadeszła i brzmiała krótko, że Siostry mają się w tej sprawie zwrócić do ordynaryusza, a nie do zagranicznego Generała. Od gubernatora zażądał cesarz bliższych szczegółów o instytucie, oraz wykazu osób i majątku. Matka Wizytatorka nie dała jednak za przegraną i całą sprawę postawiła na ostrzu miecza, że albo Siostry Miłosierdzia będą w związku z Generałem, albo istnieć przestaną. To też w tym samym roku 1781. br. Brigido, przesyłając cesarzowi kopię reguł Sióstr Miłosierdzia i sprawozdanie o ich zakładach, prosi monarchę od siebie, żeby pozwolił przełożonej na łączność *(nexus)* z generałem, bo inaczej „musi ten pożyteczny instytut upaść“. Cesarz, rozczytawszy się w regułach Sióstr, zadekretował na razie, że „Soeurs de la Charité“ we Lwowie mają być zatrzymane, byle uczyły po niemiecku, do czego powinny przyjąć świecką nauczycielkę, jeśli same po niemiecku nie umieją; nadto kazał określić całą liczbę Sióstr, do czego jednak nigdy nie przyszło. Na istotną część prośby przyszła odpowiedź dopiero w 1783. roku; cesarz trwał uporczywie przy swojem

postanowieniu i orzekł: „że wprawdzie można Siostry Miłosierdzia dla ich pożyteczności wspierać, ale należy je łagodnymi środkami do tego nakłonić, żeby profesyi nie składały w ręce obcych przełożonych, jak to dotąd czyniły, lecz wobec ordyuaryusza“. Niedługo po wydaniu tego dekretu cesarz osobiście zjechał do Galicyi; zapewne musiał zwiedzić domy i szpitale Sióstr Miłosierdzia we Lwowie i innych miastach i przypatrzył się wszystkiemu na miejscu; reszty, dokonała może audyencya energicznej Matki Wizytatorki. Bądź co bądź, cesarz zmienił zupełnie swoje zapatrywanie na Siostry Miłosierdzia i ich działalność i 30. czerwca 1783. wydał do br. Brigido rozkaz tej treści: „Ponieważ ten pożyteczny instytut zasługuje na względy i poparcie, przeto chcę pozwolić, żeby nie tylko *quoad suffragia* pozostawały *in nexu* ze swoim przełożonym *(Obmann)* we Francyi i w tym celu korespondowały z nim za pośrednictwem mojej tajnej kancelaryi nadwornej i państwowej w przepisany sposób, ale nadto, żeby mogły tymczasowo — nim się znajdzie dostateczna liczba zdolnych Sióstr w moich krajach dziedzicznych — sprowadzić kilka Sióstr z Francyi. Żeby zaś tym zakonnicom dopomódz do wychowania krajowych Sióstr, przeznaczam im na założenie krajowego nowicyatu dodatek z funduszu religijnego 4000 fl. rocznie. Za to należy je zaraz zobowiązać, żeby dla swoich sierót założyły niemieckie szkoły normalne“.

Dekret ten był wielkiem ustępstwem ze strony cesarza, który odtąd stał się jawnym protektorem Sióstr Miłosierdzia. O tem usposobieniu cesarza pamiętali dobrze gubernator i starostowie. Ale niedługo to trwało. Strona finansowa tej protekcyi wnet się uprzykrzyła cesarzowi i z początkowego dobroczyńcy stał się tylko szlachetnym protektorem zdala. Żądania Sióstr musiały być liczne; nic dziwnego, skoro rząd zabrał im wszystkie fundusze i kapitały i umieścił je w papierach państwowych na 5%, choć Siostrom wypłacał tylko 3%. Prawdopodobnie zachwiał ktoś przyjaźnią cesarza dla Sióstr Miłosierdzia po jego powrocie do Wiednia; już bowiem w 1784 r. wydaje rezolucyę do br. Brigido, w której pozwala

mu popierać Siostry Miłosierdzia, jednakże bez uszczerbku dla skarbu. Tak się skończyła przyjaźń cesarska Józefa II. dla Sióstr Miłosierdzia; pozostała im protekcya gubernatora i starostów, protekcya bez nakładu i kosztów rządu, połączona z powolnością i ze zwlekaniem spraw tam, gdzie chodziło o przyznanie jakich dobrodziejstw. Wszystkie trudności administracyjne i zawikłania ekonomicznej natury schodzą jednak na drugi plan wobec tej wielkiej wygranej Sióstr Miłosierdzia, że pozostały w łączności z generalnymi przełożonymi Zgromadzenia; wprawdzie popadły w nędzę i niedostatek wskutek tego, że rząd odmówił im dalszej subwencyi i nie zaopatrzył dostatecznie narzuconych im zakładów, lecz walcząc z biedą pilnie przestrzegały reguł i troskliwie pielęgnowały ducha Zgromadzenia.

Ks. Jan Rzymełka.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Chiny. — Najnowsza statystyka misyjna o postępach wiary św. w Chinach z r. 1904. przynosi nam następujące szczegóły, dotyczące pracy misyjnej naszego Zgromadzenia. W siedmiu wikaryatach, powierzonych naszej pieczy jest: 140.049 wiernych, katechumenów 52.942, kościołów i kaplic 1.222, kapłanów europejskich 107, kapłanów krajowców 133, braci zakonnych 41, braci szkolnych 43, Sióstr europejskich 145, krajowych 144, dziewic Bogu poświęconych 397, katechistów i innych pomocników misyonarzy 1.982, seminaryów większych i mniejszych 12, seminarzystów 374, szkół wyższych 39 a wychowanków w nich 889, szkół elementarnych 647, a dzieci w nich 11.662, szkół rolniczych i warsztatów 79 z 2.163 uczniami, zakładów „Dzieła Dziecięctwa“ dla sierot 52 a w nich 3.762 sieroty, przytułków dla starców, trędowatych i szpitali 26 z 498 chorymi, apteczek 23 i jedna drukarnia w Pekinie. Co do liczby wiernych misye nasze zajmują pierwsze miejsce po jezuickich, a na trzeciem miejscu dopiero jest seminaryum paryskie Misyi zagranicznych ze swoimi 8 wikaryatami.

Nasi Misyonarze stoją obecnie wobec nowego przesilenia w Chinach. Wojna rosyjsko-japońska zrobiła swoje — obudziła Chińczyków, dla których nienawistni niegdyś wyspiarze Japończycy stali się dziś wzorem pod każdym względem, jak nam o tem donoszą najnowsze wiadomości misyjne. I na polu religijnem zaszła zmiana. Japonia, chcąc uzyskać większy wpływ na umysły w Chinach, zamierza obecnie ożywić strupieszały buddaizm chiński. W tym celu, jeszcze w ostatniej fazie wojny, odbył się w Kantonie wielki zjazd bonzów japońskich i chińskich. Owocem jego był obszerny program, mocą którego Japonia bierze pod swoją protekcyę buddaizm chiński; w tym celu więc wszystkie bonzerye chińskie, na

których czele stoi bonzerya w Kantonie, zostają poddane centralnej bonzeryi w Tokio. Za tą organizacyą pójdzie reforma i odrodzenie buddyzmu, oparte na uznawaniu nirwany, na wielkiej tolerancyi wzajemnej, któraby umożliwiła jakieś wspólne pożycie 40 sekt budystycznych i wreszcie zagranicznym wyznaniom zostaje przyznaną jak najdalej idąca tolerancya religijna. Nowy rodzaj walki zapowiada się teraz w Chinach, walki szlachetniejszej, opartej na podstawach więcej humanitarnych niż przemoc, mordy, gwałty i pożogi, jak to dotąd bywało.

W chwili tak ważnej dla misyi w Chinach powołał Bóg do Siebie gorliwego pracownika na tej niwie apostolskiej, 80-letniego Mgr. Gerarda Bray, wikaryusza apostolskiego północnego Kiangsi. Z długiego swojego żywota poświęcił ś. p. ksiądz biskup aż 47 lat misyjnej pracy w Chinach. Kilka zaledwie lat przepędził jako młody kapłan w kolegium naszem w Anturze w Syryi, resztę swego życia strawił na uciążliwej pracy w Mongolii i Chinach. Zastał 7000 chrześcijan w chwili objęcia wikaryatu w 1870. roku; obecnie 28.000 wiernych opłakuje zgon swojego arcypasterza, pełnego zaparcia i miłosierdzia chrześcijańskiego. Pracował niestrudzenie spiesząc się, pomny wobec dzisiejszych prądów słów Chrystusa Pana: „Podnieście oczy wasze, a przypatrzcie się krainom, żeć już białe są ku żniwu“. Ks. biskup Ferrant, dawny koadjutor zmarłego, zajął jego miejsce i prowadzi dalej pracę misyjną.

Włochy. — Rekolekcye i narady ks. ks. biskupów z Apulii w domu Ks. Ks. Misyonarzy w Lekce.

Prawie wszyscy biskupi Apulii, jednej z południowych prowincyi włoskich, zgromadzili się w domu Zgromadzenia w Lekce. Przebywali tam od niedzieli 30. kwietnia aż do następnej niedzieli 7. maja.

Celem tego zgromadzenia (które zresztą co 2 lata się powtarza) było odprawienie rekolekcyi w pierwszych kilku dniach tygodnia. Reszta dni miała być poświęcona wspólnym

obradom nad potrzebami religijnemi i moralnemi ludu i kleru dyecezyi zebranych biskupów.

Tegoroczne zgromadzenie miało już stąd większe znaczenie, że Ojciec św. Pius X. bardzo się niem interesował, a powtóre dlatego, że przedmiotem obrad były nadzwyczaj ważne kwestye.

Jak już nadmieniliśmy, prawie wszyscy biskupi Apulii byli obecni, a mianowicie: ks. arcybiskup Tarentu jako przewodniczący zebrania, nadto ks. ks. arcybiskupi z Otranto i z Trani, ks. ks. biskupi z Lekce, z Molfetta, z Altamura, z Conversano, z Bitonto, z Gravina, z Andria, z Nardo, z Oria i z Ugento.

W rekolekcyach przewodniczył temu dostojnemu zgromadzeniu ks. Antoni Santoro, Misyonarz, który w tym celu przybył z Rzymu do Lekce.

Francya. — Sprawa beatyfikacyi ofiar rewolucyi francuskiej, zamordowanych w Paryżu we wrześniu 1792. r.

Sprawa beatyfikacyi ofiar wrześniowych roku 1792. interesuje bardzo Rodziny św. Wincentego. Właśnie się kończy proces informacyjny w tej sprawie, rozpoczęty przez ordynaryat paryski w pierwszych miesiącach 1900. r. Liczba ofiar wynosi 219. Wśród tego zastępu dzielnych wyznawców wiary znajdują się przedstawiciele najrozmaitszych stopni w hierarchii kościelnej, mianowicie: 1 arcybiskup, 2 biskupów, kilku wikaryuszów generalnych, proboszczów, kapelanów i profesorów. Zaszczytne miejsce mają tam zarówno stare zakony Benedyktynów, Franciszkanów, Braci Mniejszych, jak i nowy Zakon Jezuitów, Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy, Sulpicyanów, Eudystów i Braci szkół chrześcijańskich. Długi poczet tych męczenników z czasów rewolucyi uzupełniają 4 świeckie osoby.

Sprawa beatyfikacyi ściślej wiąże się z naszem Zgromadzeniem. Wyżej wymienione ofiary zamordowano w 4 różnych więzieniach: u Karmelitów, w seminaryum św. Firmina, w Opactwie i w la Force. Siedmdziesięciu sześciu padło

śmiercią męczeńską u św. Firmina, t. j. w dawniejszem Kolegium des Bons-Enfants, gdzie św. Wincenty w r. 1625. zamieszkał z pierwszymi Misyonarzami i przebywał tam aż do r. 1632., kiedy Zgromadzenie przeniosło się do domu św. Łazarza, aby tam pozostać aż do rewolucyi.

Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy zajmowało i po roku 1632. nadal Kolegium des Bons-Enfants, które w początkach XVIII. w. zamieniono na seminaryum dyecezalne im. św. Firmina od kaplicy zakładowej, zbudowanej pod wezwaniem tego świętego. W pamiętnej, krwawej rzezi r. 1792. dom św. Firmina zamieszkiwało trzech księży Zgromadzenia: Ludwik François, Szczepan de Langres, Józef Boullangier i trzech braci: Ludwik Danois, Jan Ducrou i Piotr Leroy. Nadto 18 duchownych, usuniętych z posady, ponieważ nie zaprzysięgli Konstytucyi i jeden stary oficer, pan de Villette, zajmowało dom, który 13 sierpnia 1792. r. obłożono aresztem. Od tego dnia aż do 31. sierpnia zamknięto w tem prowizorycznem więzieniu wielką liczbę księży nieprzysięgłych i kilka osób świeckich. Chociaż urzędowe źródła podają 92 umęczonych, to jednak liczba ich według wiarogodnych, współczesnych źródeł przewyższa setkę. Egzekucya krwawa wyroków rozpoczęła się po południu 2. września 1792. r. u Karmelitów, w Opactwie i w la Force, nazajutrz zaś rano padły ofiary u św. Firmina w liczbie 76. Wśród męczenników znajdował się superyor domu ks. François, nadto ks. Jan Gruyer, wikaryusz przy parafii St. Louis de Versailles, administrowanej przez Ks. Ks. Misyonarzy i ks. Mikołaj Colin, który był wprawdzie od lat kilku proboszczem w Genevrières, w dyecezyi Langres, lecz do końca życia uważał się za członka naszego Zgromadzenia. Do liczby męczenników, jakich dostarczyło nasze Zgromadzenie, wliczyć także trzeba ks. Jana Caron, który podobnie jak ks. Colin przebywał od kilku lat poza Zgromadzeniem jako proboszcz w Collégien, w dyecezyi Meaux. Nie złożywszy przysięgi na konstytucyę cywilną duchowieństwa, opuścił parafię i schronił się do seminaryum św. Firmina. Oprócz ks. ks. Gruyer'a, Colin'a i Caron'a,

jeszcze 10 innych księży, zamieszkałych u św. Firmina, miało szczęście przelać krew swoją w obronie wiary.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków - Kleparz. — Po trzechletniej przerwie otwarto znów seminaryum w tym domu, z którego odrodziła się obumierająca już prowincya polska. Dom kleparski przyjął w r. 1867 pierwszych seminarzystów, których dyrekcyę powierzono ks. Jędrzejowi Ptaszyńskiemu. Następcami jego w tym urzędzie byli: ks. Jan Coursières (1870—74), ks. Jan Szczur (1874—77), ks. Karol Szczepański (1877—79), ks. Melchior Wdzięczny (1879—81), ks. Lechevallier (1881—91), ks. Ludwik Ollé (1891—92), ks. Wojciech Wdowicki (1892—96). Za dyrekcyi ks. Wdowickiego przeniesiono seminaryum w r. 1894. na Nową Wieś Narodową, gdzie się znajdowało aż do r. 1896.; w tym roku objął urząd dyrektora ks. K. Słomiński, który już od r. 1894. kierował na Kleparzu drugim rokiem seminaryum. W r. 1899. zamianowano dyrektorem ks. Józefa Gaworzewskiego, w r. zaś 1901. przenosi się seminaryum na Stradom. Z wyjazdem ks. Gaworzewskiego do Lwowa w r. 1902. nastąpiła 3-letnia przerwa. Obecnie zamianowano dyrektorem ks. Weissmanna.

Przybyło wprawdzie 29 seminarzystów do naszego Domu centralnego, lecz wyjechało kilku księży; między nimi ks. Mięsopust do Luceny w Paranie, ks. J. Dihm na stanowisko superyora w Sarnkach.

Rekolekcye dawali w ubiegłym kwartale konfratrzy domu centralnego OO. Augustyanom i ks. ks. Kanonikom regularnym w Krakowie, w Bysławku i Chełmnie Siostrom Miłosierdzia. N. ks. Wizytator przewodniczył w Tarnowie ćwiczeniom duchownym księży.

Tarnów. — List ks. H. Króla o uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego.

Pamiętnym na zawsze w kronice tutejszego domu będzie dzień 10. września b. r., niedziela XIII. po Świątkach, w tym bowiem dniu poświęcono kamień węgielny pod naszą

świątynię, której budowę już na wiosnę zaczęto. Kiedy wieść o tem po Tarnowie się rozeszła, lud naszej dzielnicy niemniej jak my pragnący w tej części miasta widzieć świątynię Bożą, pospieszył licznie w sobotę po południu, aby w jakikolwiek sposób przyczynić się do uświetnienia tej uroczystości. Wiło się wieńce, strojono zielenią mury, wieszano chorągwie, pracowano całe po połuduiu do późnej nocy, a niektórzy przybyli jeszcze nazajutrz wczesnym rankiem, aby przygotowania dokończyć. Sam dzień rozpoczął się piękną, śliczną pogodą. Cieszyło nas to, bo oczekiwania nasze zdawały się urzeczywistniać, że poświęcenie odbędzie się ładnie. I tak też było rzeczywiście. Od południa zaczęły się gromadzić tłumy ludu, które urosły do mniej więcej dziesięciu tysięcy, kiedy o czwartej godzinie nadeszła procesya z katedry. Procesyę w asystencyi kleru przyprowadził kanonik kapituły tutejszej, ks. proboszcz Leśniak. Z tą samą procesyą przybył też nasz Najprzew. ks. biskup dr. Wałęga. W procesyi wzięły udział straż pożarna ochotnicza ze swoją muzyką, oddział Sokołów i delegacye cechów. U bramy głównej kościoła przyjął procesyę ks. superyor z naszymi konfratrami, którzy w liczbie dziesięciu na tę uroczystość z wszystkich trzech domów krakowskich pospieszyli. Przybył nawet jeden konfrater lwowski. Zaraz po przyjściu procesyi zaczęły się ceremonie poświęcenia kamienia węgielnego. Po odmówieniu wstępnych modłów poszedł na przygotowaną ambonę prepozyt kapituły ks. Infułat Stanisław Walczyński i wygłosił długie i imponujące kazanie, w którem wskazał na cel budowy nowej świątyni, na znaczenie domu Bożego w ogólności. Po kazaniu urządzono składkę, która dość pomyślnie wypadła. Następnie odczytał ks. superyor dokument fundacyjny. Po podpisaniu tegoż przez Najprzew. ks. biskupa, obecne duchowieństwo i przedstawicieli władz miejscowych zamurowano go na miejscu przeznaczonem. Na tem skończył się akt położenia kamienia węgielnego pod naszą świątynię.

Dom centralny SS. Miłosierdzia. — Zgon Siostry Etter.

Siostra Walerya Etter, urodzona roku 1845 w Poznańskiem, należała do rodziny, odznaczającej się głęboką wiarą i dobrze zrozumianą pobożnością. Wychowana troskliwie pod okiem rodziców i staruszka wuja, powszechnie szanowanego kanonika i dziekana, wcześnie usłyszała głos Boży, bo już w 18-tym roku życia wstąpiła do postulatu w Chełmnie. Długa próba czekała młodą postulatkę, porzucającą ochoczo kochaną i kochającą rodzinę. Bardzo wątłe zdrowie, częste omdlenia przy rannem wstawaniu zdawały się wróżyć, że młoda postulantka nie zniesie trudów życia Córek Miłosierdzia. Wewnętrzne jednak zalety przezwyciężyły wszelkie trudności i po dwóch latach otrzymała upragnioną świętą suknię w seminaryum paryskiem.

Po powrocie do Chełmna pozostawała jakiś czas przy pensyonacie panienek w domu głównym. Tymczasem wybuchła wojna francusko-pruska i przełożeni, oceniając zalety młodej Siostry, przeznaczyli ją wraz kilku innemi do ambulansów przy wojsku. Opowiadają jej dawne towarzyszki, że dźwigając rannych, których przywożono okurzonych i zabłoconych wprost z pola bitwy, nabawiła się kalectwa garbu, który powiększając się z wiekiem, był powodem jej śmierci.

Po skończonej wojnie przeznaczoną została do Wągrowca, gdzie przez 6 lat z prawdziwem zamiłowaniem i poświęceniem zajmowała się wychowaniem sierót.

Wskutek znanych praw pruskich po r. 1871. wiele z Sióstr Miłosierdzia wydalono z rodzinnego kraju. W liczbie wygnanek była i Siostra Etter, która przeniosła się do Krakowa w roku 1877. Ś. p. matka Talbot przeznaczyła ją do szczególniej przez siebie cenionego urzędu odwiedzania ubogich chorych po mieście.

Odtąd przez lat przeszło 25 Siostra Etter pod imieniem Siostry Augustyny pracowała z zapałem i poświęceniem dla ubogich Krakowa. Staruszki i kaleki, którym wyjednywała u dobroczyńców małe, stałe wsparcia, opłakują ją jako najlepszą opiekunkę, sieroty jako najlepszą matkę!

Gdy w ostatnich 2 latach spuchnięte nogi i zwiększające się kalectwo nie dozwalało chodzenia całymi dniami, krajała z wielkiem staraniem i oszczędnością sukienki, ubranka i bieliznę dla ukochanych ubogich. Całem sercem oddana dziełu Pań Miłosierdzia, żyła jakby tylko dla niego. Lubiła wspominać dawne czasy i zacne zmarłe Panie, z któremi pracowała. W codziennych modlitwach polecała ich dusze Bogu i pilnie przestrzegała przepisanych za nie nabożeństw.

Z równym zapałem dopomagała dziełu Panien Ekonomek, a w dzień ich zebrań wydawała się odmłodzoną. Miejmy nadzieję, że przyczyna jej w niebie wyjedna tym pięknym dziełom nowy rozwój i błogosławieństwo Boże!

Tak mijało wśród pracy i poświęcenia życie prawdziwej Córki św. Wincentego: ciche, ukryte, nieznane. Nadeszła chwila nagrody. Siostra Augustyna cierpiała w ostatnich czasach bardzo wiele, lecz nie przerywała swej pracy. Zaledwie 3 ostatnie dni choroby spędziła w łóżku, powtarzając „jakże to łatwo umierać!“ Pół godziny przed śmiercią, zasilona jeszcze Ciałem swego Zbawiciela, oddała cichutko duszę w Jego ręce. Sprawdziły się na niej słowa św. Założyciela: „Kto za życia kochał ubogich, nie boi się chwili śmierci!“

Turka. — Uzdrowienie przez cudowny Medalik. Za pośrednictwem Siostry Wiśniewskiej otrzymujemy następujący list:

W szpitalu powiatowym w Turce był ciężko chory na tyfus plamisty ks. gr.-kat. Mikołaj Polański. Stan choroby i cały jej przebieg był tak ciężki i groźny, że zdawało się każdej chwili, iż śmierć lada chwila musi nastąpić i zwątpiłem już zupełnie tak w skuteczność podawanych leków jak i w nadzieję wyzdrowienia. Ponieważ pomimo tego ks. Polański odzyskał zdrowie cudownym sposobem, przeto przypisuję to wyzdrowienie szczególnej łasce Bożej i modłom ciągłym Sióstr Miłosierdzia, w tutejszym szpitalu zatrudnionych.

Z poważaniem

Dr. Emil Zadurowicz
kierownik szpitala.

ZMARLI:

Misyonarze:

Br. Tymoteusz Very, 6. lipca w Tripolis (Syrya), żył lat 73, w Zgromadzeniu 46.

Br. Emanuel Lara, 20. lipca w Hawannie (Antylle), żył lat 43, w Zgromadzeniu 15.

Ks. Efrem Alibert, 26. lipca w Paryżu, żył lat 28, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Wawrzyniec Boé, 9. sierpnia w Algierze, żył lat 63, w Zgromadzeniu 36.

Br. Jan Egnaguirre, 12. sierpnia w Madrycie, żył lat 29, w Zgromadzeniu 2.

Kleryk Franciszek Ribeiro, 14. sierpnia w Dax (Akwitania), żył lat 24, w Zgromadzeniu 2.

Br. Paschalis Canala, 16. sierpnia w Leue, żył lat 63, w Zgromadzeniu 46.

Ks. Emil Francés, w sierpniu w Nau-Czang (Chiny), żył lat 38, w Zgromadzeniu 15.

Ks. Feliks Mariscal, 7. września w Areguipa, żył lat 76, w Zgromadzeniu 54.

Kleryk Łucyan Vegas, 7. września w Sandoval (Hiszpania), żył lat 22, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Piotr Balestra, 13. września w Peruzyi, żył lat 70, w Zgromadzeniu 54.

Ks. Tomasz Smith, 23. września w Perryville (Stan. Zjedn.), żył lat 76, w Zgromadzeniu 52.

Mgr. Gerard Bray, 25. września w Kieu-Kiang (Chiny), żył lat 80, w Zgromadzeniu 57.

Siostry Miłosierdzia:

S. Marya Etter um. w Domu Centr. 5. lipca, żyła lat 60, w Zgromadzeniu 40.

S. Józefa Feliksiewicz um. w Domu Centr. 27. lipca, żyła lat 40, w Zgromadzeniu 18.

S. Zuzanna Tomińska um. w Domu Centr. 12. września, żyła lat 25, w Zgromadzeniu 7.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.